



N^o 28.

Prenumerata w Warszawie:
roczn e rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 11 lipca 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Przysłowia illustrowane: Nie łapcie ryb przed niewodem (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Michał Wiszniewski (dokończenie). — Przegląd polityki zagranicznej. — Ku-
jawiacy (z dwoma drzeworytami). — Dzieci góralskie (drzeworyt). — Typy i postacie ludowe (drzeworyt). — Korespondencya Tyg. Illustr. ze Lwowa. — Babakai, podanie ludu węgierskiego. — Listy
Teofila Lenartowicza o literaturze i sztuce włoskiej. — Stanisław Wysocki (z drzew.) — Szachy. — Rebus. — Strach ma w lkie oczy, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia, skreślił Wacław Poncet-
de-Sandon (d. c.) — Rozmaitości. — Pomiędzy Scyllą a Charybdą, powieść p. Waleryą Morzkowską (dalszy ciąg). — Dodat. nadzw.: Siórotka, obrazek z życia amerykańskiego (d. c.)

PRZYSŁOWIA ILLUSTROWANE.

Nie łapcie ryb przed niewodem.

Młode lwiątko z świetnym
[mianem,
Wierząc ślepo że w jesieni
Stryj pojedzie karawanem,
Tam gdzie każdy iść się le-
[ni, —
W patrycyuszów złotem gro-
[nie
Żyło jak Lowelas drugi
I na balet, psy i konie
W meksykańskie brnęło dłu-
[gi.
Paryż, Londyn, Drezno, Ba-
[den
Z rąk go sobie wydzięrały,
Bo nie trafił im się żaden
Jeszcze taki graf wspaniały.
Wtém przyjaciel jakiś z ci-
[cha
Przekabacać począł stryja:
Że on na śmierć jego czyha,
Że się zgrywa... że rozpija...
I stryj po tej też rozmowie,
Ze spartańskim serca chło-
[dem,
Zmienił legat na przysłowie:
„Ryb nie łapcie przed nie-
[wodem.“
W skutek tego zminą łzawą
I wychudły jak koń Cyda,
Eks-bóg mody, gdzieś pod
[ławą

W karczmie skończył dni u Żyda.

X.

Kronika tygodniowa.

Obecnie Warszawa w dnie świąteczne, szczegól-
niej w czasie poobiednim, utracą zupełnie prawie
pozór letniego miasta.

Główne ulice, zwłaszcza te na które bieg intere-
sów zwabia w codziennę porze największy ruch
przechodniów, pustoszą prawie. Nawet turkot
powozu rzadko tam się słyszeć daje.
Dorożki nie dopytasz się, rozjechały się bowiem
wszystkie, żeby powieść gości w różne ogródkowe

Pobieżne sceny przez towarzystwo p. Russanowskie-
go odgrywane, natłaczają do tego szczupłego ogródka
więcej zwykle osób, niżby dało się pomieścić w sali
Wielkiego teatru. Zabawie nie przeszkadza wcale
turkot powozów uwijających się po ulicy z ogród-
kiem graniczącej, chociaż przyznać trzeba, że dla
wizdów, zwłaszcza więcej
oddalonych, turkot ten nie-
mała jest przeszkodą w do-
słyszaniu aktorów, którzy
bardzo silnie głos nateżać
muszą, co niekoniecznie
znów do gry pomaga.

W każdym razie właściciel Tivoli bardzo dobre ro-
bi interesa na tym swoim
pomyśle, i nie wątpimy że
wszelkie nakładowe koszta
powróciły mu się już z so-
witym zyskiem. Ale takie
powodzenie powinno go
skłonić do sowitszego wy-
nagradzania pracy artystów,
którzy głównym stali się
czynnikami tych zysków
niespodzianie osiągniętych.

O ile nam wiadomo,
oprócz gustownego, zbyt-
kownego nawet urządzenia te-
atrzyku w Eldorado, płaca
artystów francuzkich tam
występujących, w połączeniu
z orkiestrą, której wynag-
rodzenie stosunkowo naj-
mniej tu znaczy, wynosi do
dwóch tysięcy rubli na mie-
siąc. Jest więc na co zbié-
rać i potrzeba niemałego po-

wodzenia, żeby pokryć koszta.

Prawda że ubrania i przybory wszelkie tych śpié-
waków są kosztowne; ależ stać ich na to.

W ogródku przy ulicy Śto-krzyżkiej, zwanym Cassi-
no, śpiewacy mało co mniejsze pobierali wynagrodze-
nie; a ponieważ właścicielowi tamecznemu niebardzo
się wiodło, musiał więc, po dość znacznej sto-
sunkowo stracie, poczynić kroki dla rozwiązania

strony, lub na zamiejskie przechadzki.

Badając liczbę gości których codziennie zwabiają
rozrywki na świeżem powietrzu urządzone, widzié-
my że dolina Szwajcarska prym trzyma przed innemi.
Rzadko mniej się tam zbiera niż pięćset osób, a
w dnie świąteczne zgromadza się tysiąc pięćset
i więcej.

Zaraz z kolei po dolinie Szwajcarskiej idzie Tivoli.



Układ i rysunek A. Zaleskiego.

kontraktu, i dziś przedstawienia ustały tam zupełnie.

W Tivoli rzecz się ma inaczej.

Artyści którzy porobili kontrakty z właścicielem, nieufni we własne siły, nie mając zresztą wyobrażenia o pochopności mieszkańców tutejszych do przedstawień na świeżem powietrzu, ograniczyli się na bardzo małym wynagrodzeniu, nie wynoszącym podobno i szóstej części tej płacy, jaką śpiewacy francuzcy pobierają, chociaż liczebnie mniej jest tych ostatnich. Na początek wydało im się to niezłym; ale życie w Warszawie bardzo drogie, a przedstawienia wymagają porządniejszej nieco garderoby i rozmaitych przyborów, na których zbywa im prawie zupełnie. Starczyłoby jednak na to wszystko i okroiłoby się nawet na zapłatę dla autorów, mogących pisać dla tego towarzystwa scenki zastosowane do wymagań miejscowych. Ale to jest rzeczą właściciela, który zachęcony powodzeniem i zyskiem nadspodziewanym, powinienby dbać o zaprowadzenie ulepszeń, jakich publiczność słusznie się od niego domaga.

Radzilibyśmy także przedsiębiorcy i dyrektorowi, żeby trochę więcej względu mieli na wybór osób, niż to dotychczas bywało. W takich artystach ogródkowych nie żądamy talentów, ani nawet rzeczywistych zdolności dramatycznych; ale niechaj przynajmniej będzie jakaś rutyna, jakaś świadomość tego aktorskiego powołania, które wielu zdaje się tak łatwem, że rzucają inny, obrany już sposób do życia, żeby iść zbierać laury na scenie. Niewiele żądamy, ale poprawne wymawianie i unikanie błędów językowych, toć to nie zbytek jeszcze wymagań. Nic nie pomoże choćby najśmiślniejszy nos przyprawny, jeżeli w wypowiedzianym frazesie rodzaju i przypadki nie zgadzają się z sobą, jeżeli e wymawia się jak y, a u jak o. Niewyuczenie się roli można kłaść na karb pośpiechu, niedokładne jej zrozumienie dowodzi braku wprawy; ale niedostatki z rodzaju tych jakie wymieniliśmy, są dowodem zupełnego zaniedbania pierwszych zasad gramatyki, która przecież w sztuce dramatycznej jest jedną z głównych podstaw nauki.

* * *

Dość dawno nie widziani w Warszawie Cyganie pokazują się od kilku dni na ulicach miasta. Obóz założyli sobie za Pragę i robią do nas każdodziennie wycieczki.

Charakterystyczne są twarze i ubrania tych ludzi, a u niektórych z nich znać względną zamożność; kobiety posiadają ozdoby złote, u mężczyzn widzieć się dają nierzadko srebrne okucialasek, guziki i przybory do pasów.

Widocznie dobrze im się wiodło w przedsiębranych dotąd wycieczkach.

— A co umieć? zapytał najstarszego z nich ktoś z odwiedzających.

— Wszystko.

— No, ale przecie...

— Wszystko co pan rozkaże.

Odpowiedź wyborna, maluje ona bowiem cały charakter tego ludu o mętnem pochodzeniu. Ale czy nie dałoby się to zastosować i do niektórych wychowańców naszego wieku, co po nabyciu encyklopedycznego wykształcenia, umieją wszystko, tylko nic dobrze?

* * *

Wiadomo że Cyganki wróżą.

Otóż jedna z nich zjawiała się w tych dniach w pełnym domu i zaczęła od kuchni.

Była to młoda kobieta, dość czysto ubrana, choć widocznie podług tradycji rodowej w jaskrawych milująca się barwach, o ogorzalych ale regularnych i pięknych rysach twarzy.

A mówiła owem narzeczem w górach używanem, które dobrze zrozumiałe dla naszego ucha, dodaje wypowiedzianym wyrazom miękkości i wdzięku.

Po wyróżeniu za kilkanaście groszy całej świetnej przyszłości kucharek, młodszej i pomywaczce, Cyganka przywołana została do samych państwa.

— No, czy wyróżysz mi co? rzekł pan.

— A dobrze, panoczku, odrzekła, niech panoczek podadzą rękę.

Stało się według jej żądania.

Poczęła wodzić palcem po liniach dłoni i wypowiadać różne koleje.

A trzeba wiedzieć że ten z którego ręki w tej chwili Cyganka wyprowadzała wróżby, za bytnością w Paryżu poznał się był z Desbarolles'em i stał się nawet zwolennikiem nauki tego sławnego chiromanty.

Widząc więc że to co o jego usposobieniu i przyszłości Cyganka wypowiada, nie zgadza się z położeniem owych linii, których kierunek podług Desbarolles'a ma służyć za stałą zasadę odgadywania chiromantycznego, przerwał jej, wskazując fałsz w twierdzeniu.

— A panoczek zkąd to wiedzą? zapytała Cyganka.

— A wiem, bo i ja wróżyć umiem. Pokaż mi twoją rękę.

I ująwszy dłoń smagłą i ogorzalą, poczęła jej znaczenie wszystkich linii opowiadać.

Cyganka przez kilka chwil spoglądała na niego w niemém osłupieniu, aż nareszcie, widząc że wróżący z największą pewnością siebie i szczegółowo zaczyna jej opisywać kierunek linii, ich krzyżowanie się i prognostyki jakie z tego wyciągnąć można, wyrwała rękę i ująwszy się oburącz za głowę, uciekła czempredzją z pokoju, nie dopominając się nawet o zapłatę, tak jej zaimponował ten wróżbita ze szkoły Desbarolles'a.

Z wypadku tego można osiągnąć przekonanie, że wróżenie Cyganek odbywa się podług pewnych tradycyą przekazanych zasad, które Desbarolles musiał odgadnąć i ukłasyfikować. Jest to więc rzeczywiście szczytek jakiejś dawnej mistycznej nauki, której pierwszych związków, tak jak i magnetyzmu zwierzęcego, w Egipcie i Indyach szukać należy. Zresztą jeżeli nie braknie zwolenników systematu Galla i Lawatera, dla czegożby i chiromancya mieć swoich nie mogła? W kronice zeszytygodniowej pisaliśmy o charakteryce, a nie widzieliśmy znowu tak wielkiej różnicy w odgadywaniu charakterów i usposobienia człowieka z pisma, czy z linii na dłoni wyrobionych.

* * *

A teraz kiedy mowa o charakteryce, muszę wypowiedzieć się przed wami z grzecznością, czytelnicy.

Piszę bardzo niewyraźnie. Nie wiem co by tam charakteryka o tém powiedziała, ale wiem że towarzysze drukarscy niejednokrotnie żalili się już na to moje kurze pisanie, które nieraz stawało się powodem dziwnych pomyłek.

Tak też było i w ostatniej kronice.

Autor dzieła pod tytułem Charakteryka i zarazem wynalazca u nas tej nauki, nazywa się Jelski. Ale wypisując to nazwisko, postawiłem J arcypodobne do owego B Dyndalskiego, w którym cześnik żadnym sposobem dwóch brzuszków nie mógł się dopatrzeć. Zecer snadź dojrzał tych dwóch brzuszków, chociaż ich po prawdzie nie było, i tym sposobem z nazwiska Jelski, zrobiło się Bielski, co rzeczywiście jest błędem nie do darowania, gdyż nazwisko autora Charakteryki posiada już rozgłos druku.

* * *

Nowy pojawił się owczarz!...

Tym razem wszakże owczarzem jest owczarka, mieszkająca gdzieś nad Wisłą, w pobliżu Płocka.

A nawet kiedy mówię o jednej, mijam się z prawdą, bo jest ich dwie, matka i córka, a leczą na wszelkie słabości, o których Dulkamara wspomina, i o których zapomniał nawet.

Pacyentów niebrak, a płacą dobrze, więc obie learki mają zarobek nielada.

Chorobę podobno rozpoznają bez żadnych wskazówek i pierwsze wypowiadają chorem symptomata na jakie cierpią.

Pisano nam o nich cuda prawdziwe; a sprawodawcy wierzą najzupełniej w te zadziwiające kuracje.

Zresztą Płockie, to tradycyjna ziemia cudownych leków, bo i w samym Płocku istnieje słynna maść na wszystkie rany, zwana maścią Hoffmanki.

* * *

W pierwszym tygodniu b. m. odbyły się walne posiedzenia Towarzystw akcyonaryuszów dróg żelaznych, a mianowicie warszawsko-wiedeńskiej, warszawsko-bydgoskiej i warszawsko-terespolskiej.

Szczegółowe sprawozdania o ruchu tych dróg, ich obrotach pieniężnych, nabytku inwentarza i t. p. w r. 1867, podane zostały przez wszystkie prawie pisma codzienne, a głównie przez specjalną pod tym względem Gazetę Handlową, której staranna i umiejętna redakcyja na wszelkie zasługuje uznanie.

Szczupłość miejsca nie dozwala nam podawać pojedynczo cyfr do każdej z osobna odnoszących się kategorii; ograniczymy się więc tylko na rezultatach, wykazujących że droga żelazna warszawsko-wiedeńska miała w r. z. dochodu o 210,895 rs. kop. 19 1/2 więcej niż w r. 1866.

Mniej pomyślnym okazał się wypadek obliczeń w towarzystwie drogi żelaznej warszawsko-bydgoskiej, gdyż tam, z przyczyn niezależnych od woli dyrekcji, stowarzyszenie widziało się zmuszonem, na zasadzie aktu dodatkowego do ustawy nadawczej, zażądać od rządu dopłaty rs. 95,385 kop. 56, dla wypełnienia zobowiązań.

Najświetniejsze zato przychodzi nam zaznaczyć fakta co do drogi żelaznej warszawsko-terespolskiej. Jakkolwiek wyłożony na nią kapitał jeszcze się na pozór procentować nie zaczął, to przecież głębiej wpatrzywszy się w stan rzeczy, widzieliśmy że przynosi on już dziś ogromne oszczędności w czasie. A czas jest monetą, jak mówią Anglicy.

Jak wiadomo umowa nadawcza o budowę i eksploatacyą drogi żelaznej warszawsko-terespolskiej, zawartą była pomiędzy rządem a otrzymującym nadanie p. Leopoldem Kronenbergiem, dnia 8 października 1864 r.

Dnia 20 maja 1866 r. nastąpiło założenie kamienia węgielnego w fundamentach dworca głównego na Pradze, a w niespełna 5 miesięcy potem, bo 9 października, otworzoną została droga od Pragi do Siedlec, zaś w kilka tygodni później do Łukowa.

Nakoniec z początkiem września 1867 r. cała już droga była ukończona, tak dalece, że dnia 7 września nastąpiło otwarcie jej aż do Terespoła. Droga ta więc oddaną została do użytku publicznego w czasie o dwa lata krótszym od terminu zakreślonego.

Dochody w powyższym czasie wynosiły rs. 320,393 k. 83; wydatki rs. 232,499 k. 74 i pół; pozostało więc rs. 87,894 k. 8 i pół. Procenta wymagają w monecie brzęczącej rs. 408,901 k. 64, czyli w papierach, licząc 20 i pół tytułem azio, rs. 490,681 kop. 96 i pół; zatem rząd dopłaca w papierach rs. 402,787 kop. 88, lub w monecie brzęczącej rsr. 335,656 kop. 53 i pół.

Przegląd polityki zagranicznej.

10 lipca.

Rozprawy budżetowe w ciele prawodawczem francuzkiem nader były ożywione. Atak rozpoczęty został mową p. Thiers'a, lecz pomimo nader misternego układu cyfr budżetowych, wykazujących że rząd francuzki miéwa co rok po 200 milionów franków deficytu, pomimo kilku szturmów, nie zdołał podkopać zaufania większości. Najgwałtowniej wystąpił mówca opozycyjny Juliusz Favre, który tém zakończył swą mowę, iż jeżeli Francya dosyć ma pieniędzy do płacenia za chwałę, to zbyt jest ubogą do utrzymywania cesarstwa. Ze strony rządu odpowiadał po dwakroć minister skarbu Magne, ku końcowi zaś rozpraw zabrał głos p. Rouher. Minister stanu oświadczył, (w d. 4 b. m.) że Francya nie znajduje się na stopie zbrojnego pokoju, jak to nieprzychylni rządowi utrzymują, i że nawet skład obecny armii obliczony jest na pokój. P. Rouher utrzymywał, że od Grecyi aż do Niemiec, rząd francuzki trzyma się zasady uspokojenia, że nowa broń jest środkiem zapobieżenia wojnie, że rząd nie ma żadnej myśli ukrytej, ale że należy być przygotowanym na wszelki wypadek, rząd bowiem cesarski rozumie wojnę jedynie w granicach nietylko terytorium,

Michał Wiszniewski.

(Dokończenie).

lecz zarazem i godności, honoru i wpływu narodu francuzkiego. Tak więc i te rozprawy, rzecz ściśle zważywszy, nie doprowadziły do wyjaśnienia rzeczywistych zamiarów Napoleona III. Jeden tylko z nich wniosek da się wyprowadzić, wniosek poparty zresztą innemi jeszcze faktami, że obawa wybuchnięcia wojny w roku bieżącym jest płonna. Marszałek Niel oświadczył izbie, iż z wyraźnego rozkazu cesarza, zaraz po ukończeniu manewrów obozowych, znaczna liczba żołnierzy rozpuszczoną zostanie za urlopem. Według dziennika „Epoque“ wybory ogólne nastąpią dopiero w 1869 roku. Pogłoski o usunięciu p. Rouher'a z gabinetu ponawiają się.

Słabość, a raczej urlop hr. Bismarck'a przedłuża się na czas nieograniczony, dowiadujemy się bowiem że czynności kanclerskie tego ministra rozdzielone zostały między innych ministrów króla Wilhelma. Dzienniki zwracają uwagę na tę okoliczność i uważają to rozporządzenie jako bardzo ważne, w razie dłuższej nieobecności hrabiego Bismarck'a, tym bowiem sposobem Związek północny stanowiłby tylko zbiór prowincyj pruskich we względnie administracyjnym. Myśl utworzenia Związku południowego wznowiona została. Mówią nawet że minister bawarski ks. Hohenlohe wypracował projekt Związku i że hr. Bismarck przychylnie na to patrzy, w nadziei że jedność państwa Niemiec utworzy się dopiero za jego powrotem do władzy.

W Austrii rząd zajęty jest sprawą kościelną i czeską. Allokucya papieżka wywołała powszechne protestacye, tak dalece, że baron Beust zniewolony był wystosować notę do stolicy apostolskiej. Kanclerz w słowach pełnych uszanowania, lecz energicznych, zaprzecza papieżowi prawa mieszanja się do władzy świeckiej, i oświadcza że nowe prawa o kościele i szkole utrzymane zostaną w całej sile. Drugi z kolei kłopot rządu austriackiego stanowi kwestya czeska, której rozwiązanie nader dla rządu jest upragnione. Według niektórych dzienników, p. Beust proponuje Czechom koronacyą w Pradze, udział w ministeryum i rozszerzenie autonomii, Czesi zaś domagają się równouprawnienia z Węgrami. Znalezienie pośredniej drogi jest prawie niepodobieństwem. Zbliżająca się rocznica śmierci Jana Husa, wywołała manifestacyą. Znaczna liczba Czechów udała się do Konstancyi, w zamiarze odbycia nabożeństwa na cześć i pamiątkę tego męża. Z rozkazu cesarza Franciszka, minister wojny przystąpił do urlopowania pewnej części ludzi w każdej kompanii. Liczba urlopowanych wynosić ma około 36,000 ludzi.

Ze Wschodu nic ważnego. W Serbii, po ogłoszeniu księciem Milana Obrenowicza i namaszczeniu go w kościele metropolitalnym, skucezyna ustanowiła regencyą i wydała uchwałę, mocą której rodzina Karageorgewiczów nazawsze od tronu usunięta została. Skucezyna domaga się ustanowienia sądów przysięgłych, swobody prasy i rządu konstytucyjnego. Dzienniki pruskie donoszą, że mocarstwa zachodnie zaproponowały w Atenach pogodzenie Grecyi z Turcyą, na podstawie uznania przez Grecyą nietykalności dzisiejszych granic Porty. Wzajemnie Turcyą zapewni u siebie narodowości greckiej jaknajswobodniejszy rozwój.

Depesza z Madrytu, z dnia 7 lipca, doniosła w lakoniczny sposób, że generałowie Satore, Dulce, Zaballa, Cordoba, Serrano, Bedoya i brygadyer Letona zostali przyaresztowani, innych zaś poszukują. Nie mamy dotąd żadnych szczegółowych raportów o tym wypadku.

Ostatnie depesze. *Madryt, 8 lipca.* Siedmiu generałów za udział w knowaniach rewolucyjnych aresztowano i wysłano na wyspy Kanaryjskie. Księstwo Montpensier otrzymali rozkaz opuszczenia Hiszpanii.

Paryż, 8 lipca. Monitor powiada, że wołą jest cesarza, ciała prawodawczego i narodu, utrzymać pokój, jako istotny warunek postępu i cywilizacyi. W ciele prawodawczém marszałek Niel powiedział między innymi: Mamy dziś taką armią, iż nikt w Europie nie ma interesu się z nią mierzyć. Izba przyjęła wszystkie żądane paragrafy kredytu dodatkowego.

Paryż, 8 lipca. Epoque utrzymuje, że w Barcelonie i Walencji wybuchły rozruchy. Książę Napoleon wrócić ma do Paryża w d. 20 b. m. (W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

Myśl napisania *Historji literatury polskiej* powziął Wiszniewski jeszcze za swego pobytu w Krzemieńcu, kiedy zbiory poryckie nastęrczały ułatwienie pracy, a obudzona dziełem Bentkowskiego ruchliwość bibliograficzna, zechęcała poważne umysły do głębszego zastanawiania się nad przeszłością oświaty krajowej. Wszakże dopiero w r. 1840 ukazał się tom pierwszy tego kolosalnego przedsięwzięcia pisarskiego i jak jednych zadziwił rozległością zakresu a głębokością poglądów, tak drugich zgorszył przepomnieniami tu lub owdzie o nieznanym pisarzach lub wydaniach. W miarę wychodzenia dalszych tomów, krytyka jakby umyślnie sadziła się na to, żeby wprawić autora w kłopoty Lafontenowskiego młynarza: jedni zarzucali drobiazgowość, drudzy niezupełność drobiazgowi; jedni chcieli samęj filozofii historyi, drudzy najobszerniejszej bibliografii. Na to wszystko można było nie zważać; lecz przedsięwzięcie samo z siebie przewyższało siły pojedynczego człowieka. Wiszniewski zamierzył był napisać nie historyą piśmiennictwa w ścisłym znaczeniu, lecz dzieje oświaty w Polsce, na tle oświaty europejskiej. Łatwo pojąć, że w ten tylko a nie inny sposób można napisać prawdziwie godną tego imienia historyą piśmiennictwa; kto nie rozumie co znaczyło dla literatury polskiej znalezienie kodeksu praw rzymskich lub upadek Konstantynopola, ten do podobnej pracy zasiadać nie powinien. Wiszniewski rozumiał swe zadanie; lecz zbywało mu częstokroć na najelementarniejszych danych, bo nie mieliśmy nawet porządnej bibliografii, która zresztą i dzisiaj, pomimo szacownych prac Jochera i Sobieszczańskiego w Encyklopedyi, jeszcze nie doszła kresu doskonałości. Ztąd wypłynęła u Wiszniewskiego szkodliwa dla dzieła dwoistość: opracowywanie materyałów, drukowanie wyjątków, a nawet całych dokumentów i pism, obok potoku historycznej powieści. Nie było do czego się odwoływać, więc dowody pokładać musiano w dziele. Rzecz sama za siebie mówiła, i dziwić się tylko można, że tego nie rozumiano.

Wyrok niedokończenia na tak szerokie rozmiary zakreślonego przedsięwzięcia, już leżał w niem samym; zyciaby na to nie wystarczyło. Ale wypadki 1846 r. w b. rzeczypospolitej krakowskiej przyspieszyły przerwanie pracy. Tom siódmy *Historji literatury*, doprowadzony do r. 1650, był ostatnim, który sam jeszcze ułożył i wydał. Tom ósmy, naprędce z gotowych wypracowań spozyty przed wyjazdem za granicę, wydał bezinteresowny nabywca wszystkich Wiszniewskiego materyałów, czcigodny obywatel Konstanty Macewicz. Po rychłym jego zgonie, owe materyały dostały się Aleksandrowi Przeździeckiemu, na którego wezwanie Teofil Żebrawski jeszcze tom jeden z luźnych notatek ułożył i własnymi dodatkami z bogacił. Żebrawskiemu też zawdzięczamy szczegółowy spis rzeczy wszystkich dziewięciu tomów tego niezaprzeczenie najznakomitszego dzieła o piśmiennictwie polskiem.

Opuściwszy kraj nazawsze, Wiszniewski po raz trzeci, szukając rozerwania umysłu, podróżował po Włoszech, studyował Pompeje, wdzierał się nawet na Etnę; ale pokoju ducha odszukać już nie mógł. Owocem tój podróży, równie jak wspomnień poprzednich wycieczek, była wydana w roku 1847 *Podróż do Włoch, Sycylii i Malty*. Nic w niej nie wskazuje złamanego przygodami umysłu, tylko wymowne milczenie: zaprzęta się sztuką, historyą, przemysłem, handlem, obyczajami ludu, widokami przyrody, dykteryjkami, legendami, lecz ani jednym słówkiem nie napomyka o bieżących wypadkach politycznych. Stan ekonomiczny krajów włoskich stoi w tém dziele na pierwszym planie; widać, że autor w podróży badał już grunt dla przyszłych operacyj piędnych, w których czynny jego umysł szukać zamierzał ukojenia.

Osiadłszy we Włoszech, Wiszniewski przemieszkował czas jakiś w Medyolanie, a następnie już stale w Genui, gdzie przy pomocy piędnej kilku dawnych przyjaciół, otworzył dom komisowo-handlo-

wy i bankierski. Już był znacznego dorobił się majątku, gdy pamiętne przesilenie piędne w r. 1858 przyprawiło go o ruinę, z której wyszedł nczciwie, lecz ze wszystkiego prawie ogołocony.

Odtąd zabity na duchu i majątku, a skłonny z przyrodzenia do samotności, usunął się zupełnie od ludzi i zamknął w opustoszałej willi Danino pod Genuą. Praca umysłowa, z którą pomimo nadwężonego wzroku do końca życia rozstać się nie mógł, stanowiła już teraz jedyną rozrywkę Wiszniewskiego. Napisał jeszcze *Historyą jezuitów*, której manuskrypt przed kilku laty był w ręku jednego z krajowych księgarzy, lecz nie wiemy gdzie się obecnie znajduje; gromadził materyały do historyi Włoch, przysyłał artykuły do *Encyklopedyi powszechnej* Orgelbranda, oraz listy osnowy politycznej do *Kuryera Wileńskiego*. Miłość też piękna zachował do zgonu. Kraszewski, który go odwiedził w ostatnich latach, kręśląc w *Kartkach z podróży* bolesny obraz znękanego starca, powiada, że chociaż wszystko oddał na pastwę, kilka obrazów wielkich mistrzów nie ustąpiło ze ścian opuszczonej willi Danino.

Umarł Michał Wiszniewski na cierpienie serca dnia 22 grudnia 1865 roku w Nizy. Zwłoki jego spoczęły w témże mieście na wysokości górze, z widokiem na morze Śródziemne, którym gasnący wzrok w ostatnich latach z upodobaniem napawał. Zasługi położone dla piśmiennictwa, o których szczupłość zakresu tego artykułu ledwo napomknąć tu pozwoliła, nie dadzą o nim zapomnieć krajowi, chociaż grób jego na obcej ziemi nie będzie szumnemi napisy przemawiał do oczu polskiego przechodnia.

W. Korotyński.

KUJAWIACY.

Na szerokiej płaszczyźnie nadwiślańskiej, gdzie czarna ziemia daje obfite plony rolnikowi, a z nurta mi starego Gopła związały się tysiącletnie podania, osiadł z czasów niepamiętnych lud kujawski.

Znane są w dziejach krajowych burzliwe koleje jakie przechodziły Kujawy, już to pod rządem książąt z linii Piastów, już jako pole zaciętych walk i wojen, które po wiele razy kraj ten pustoszyły i niszczyły jego mieszkańców. Świadczą o tém kroniki i podania miejscowego ludu, świadczą pod Płowcami wystawiony pomnik, na pamiątkę odniesionego tam przez Łokietka zwycięstwa nad Krzyżakami w r. 1331. Lecz więcej jeszcze Kujawy słynęły zawsze i słyną w kraju całym z urodzajności swęj ziemi, tudzież z ochoczych i dziarskich piosenek i tańców ludu zwanych *kujawiakami*, a wielce ulubionych w oddalonych nawet prowincyach. Prawdziwa ochoczość, szczerość i prostota, jest główną charakterystyką tańców i pieśni kujawskich, których tyle krąży po kraju. I niema się czemu dziwić; tradycyjna zamocność kujawskiego wieśniaka, wywarła wielki wpływ na ducha jego pieśni, biesiad i tańców, wpłynęła na jego zwyczaje i ubiór, który ztąd odznacza się pewną sutością i dostatkiem. O starożytności wielu zwyczajów, pieśni a nawet ubiorów ludowych, nie miejsce tu mówić, badania historyczne, archeologiczne i etnograficzne ciekawe w tym względzie wykazały rzeczy. Pan Józef Łepkowski sądzi, że dzisiejsze ubiory ludowe są, z małemi odmianami, ubiorem klas wyższych narodu w czasach bardzo dawnych. Jest to wielce prawdopodobnem; bo jeśli w owych czasach zwyczaje były wspólne ludowi i szlachcie, czemużby i ubiory, z pewnemi różnicami w zbytku, nie miały być te same?

Jeżeli lud na Kujawach, ocięrając się dziś o licznych przybyszów i mimowolnie ulegając ogólnemu prądowi nowości, zapomni już niektórych starożytnych obrzędów, nie należy jednak bynajmniej sądzić, aby to co mu dzisiaj jeszcze pozostało, te charakterystyczne zwyczaje, pieśni, właściwości językowe, ubiory i t. d. nie było ważnym i bardzo ciekawym materyałem dla badań etnograficznych.

Ważność tych badań wykazali dzisiejsi historycy; czemuż jednak, jeśli w Niemczech i Francji tylu ludzi uczonych niemi się zajmuje, u nas spotykamy nieliczną garstkę pracowników na tém polu?

Obok wzmianek jakie mamy w różnych dziełach, tudzież luźnych sprawozdań o Kujawach i ludzie kujawskim, piérwszym szczegółowym i ze stanowiska nauki sumiennie traktowanym opisem całych Kujaw, zubożając go wseryi IIIój szacownego swego wydawnictwa: *Lud*, Warszawa 1867 r. Opis ten powinien służyć za wzór dla wszystkich prac tego rodzaju, charakter bowiem wieśniaka kujawskiego, jego życie domowe, wady i przymioty, obzędy i zwyczaje, język i pieśni są tam wybornie i w prawdziwym świetle wystawione, a rysunki i muzyka dopełniają dokładnego obrazu. Nieślusznym jest zarzut, że p. Kolberg zawiele podał w swém dziele odmian muzyki ludowej. Autor, sam będący muzykiem, a specjalnie poświęcający się badaniu ludowych melodyj, powinien jak najwięcej podawać nam tego, co niełatwo przyjść może komu innemu i czém podobno nikt więcej tak gorliwie u nas się nie zajmuje. Pocieszającą także jest rzeczą, że charakterystyczne i piękne a tak liczne melodye kujawskie, zostały już przez p. Kolberga wszystkie spisane i naukowo zbadane.

Dołączone tu drzeworyty przedstawiają dwa wyborne typy ludu kujawskiego: włóścianina i niewiastę. Wieśniak ubrany jest w tak zwaną *kieręję*, czyli rodzaj szuby dostatniej, z grubego sukna granatowego lub błękitnego, z kapturem wiszącym z tyłu, zwanym *Bóg-zapłać* lub *szczęść-Boże* (Kujawy, Kolberg, str. 64). Ma on pod spodem kaftan granatowy, przepasany włóczkowym, także granatowym lub czerwonym pasem, na szyji zaś zwykle w zimie chustkę grubo obwiązaną, czerwoną. Wieśniaczka ma na sobie kapotę, dawniej zwaną węgierką (Kolberg, Kujawy, str. 67), koloru granatowego lub ciemnozielonego, obłożoną barankami, wyszytą na piersiach guzikami, z wiszącą na plecach peleryną. Na głowie ma ona czépiec zwany kapką, dokoła obwiązaną chustką, tak że z przodu garniowanie przy twarzy tylko widać.

Z. Gloger.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Lwów, w czerwcu.

Z początkiem bieżącego miesiąca odbyło się losowanie dzieł sztuki, zakupionych na tegorocznej wy-

stawie przez Towarzystwo sztuk pięknych. Dwanaście obrazów, dwadzieścia odlewów gipsowych, mianowicie dziesięć popiersi Szajnochy, pięć Wincentego Pola i pięć medalionów z wizerunkiem Aleksandra Fredry ojca, oraz jedna rzeźba w drzewie, były tym razem przedmiotem losowania. Trzeba przyznać że Towarzystwo, jak na piérwszy rok swego działania, wiele uczyniło, skoro akcyonaryuszom swoim taki plon ofiarowało. W losowaniu brało udział 1020 akcyj. W wielkiej sali radnej, gdzie się losowanie odbywało, ustawiono obrazy i odlewy. Najpomyślniej los posłużył prezesowi Towarzystwa, Leszkowi hr. Bor-

jest popiersie Pola; znajdujemy w niém trafnie uwydatnioną tę dziarskość i energią, charakteryzującą oblicze poety dziś jeszcze nawet, mimo podeszłego wieku, w uśmiechu twarz opromieniającym, w składzie ust pokrętnym ozdobionych wąsem; tylko czoło zanadto naprzód podane, psuje nieco harmonią podobieństwa.

Gdy Towarzystwo sztuk pięknych urządziło losowanie, równocześnie niemal odbył się popis w istniejącej od roku dopiero tutejszej szkole przemysłowej. Szkoła ta, założona kosztem miasta, zaraz w piérwszym roku wiele dobrego wydała plonu, a w przy-

szłości będzie prawdziwym dobrodziejstwem stanu rzemieślniczego i przemysłowego. Warsztaty tutejsze pozostawały dotąd w dosyć smutnym stanie; czeladź rzemieślnicza, niemająca zkad zaczerpnąć nauki odpowiedniej jej potrzebom i zawodowi, pozostawała w ciemności. Oddana po większej części lenistwu i niemoralności, nie była dość ukształconą, aby zapewnić rzemiosłom i przemysłowi krajowemu górę nad spółzawodniczym przemysłem zagranicznym. Założenie zatem szkoły usposabiającej do przemysłu i zawodów wyłącznych, było konieczną potrzebą. Jakoż w piérwszym zaraz roku okazały się dobre jej skutki. Szkoła składa się z dwóch kursów, mianowicie przygotowawczego dwuletniego, i wyższego, złożonego z trzech działów w szczególności: mechaniki, chemii i budownictwa. Popis poszedł bardzo dobrze, a pocieszającą rzeczą było widzieć jak pojętnie młode chłopaki odpowiadały na zapytania w różnych przedmiotach i jakie w ogóle okazywały zajęcie dla nauki. Rada miejska przeznaczyła cztery nagrody po kilkadziesiąt złotych w. a. na stypendya dla najpilniejszych. Toż samo uczyniło ze swjej strony kilka osób prywatnych, cech stolarski i dyrekcya kolei. Tym sposobem kilkunastu

kowskiemu, gdyż wygrał dwa najpiękniejsze obrazy: „Dziewczynkę modlącą się na poddaszu“ Mireckiego i krajobraz „Wimbachsthal“ Grabińskiego, tudzież medalion Fredry. „Barbarę w zamku w Dubienkach“ Cynka wygrał p. Madurowicz. Szczególniejszą na siebie uwagę zwracały odlewy, wykonane z modeli Filipiego. Popiersie Szajnochy odznacza się uderzającym podobieństwem, co tém bardziej świadczy o talencie artysty, że wykonane było według fotografii, z której, nie znając bliżej zmarłego, poczuciem artystycznym odgadnąć musiał wszystkie rysy zlewające się w charakterystyczny wyraz oblicza, aby go uplastycznic w swjej rzeźbie. Również podobne

uczniów otrzymało nagrody pieniężne, kilkunastu innych książki lub listy pochwalne. Będzie to wielką zachętą do nauk na rok przyszły; a gdy rada miejska rozporządziła, iżby na przyszłość nikt z młodzieży warsztatowej nie uchylał się od uczęszczania do szkoły, w której nauki odbywają się codziennie po dwie godzin wieczorem, więc nie wystarczą klasy dzisiejsze, ani siły profesorów, lecz wypadnie koniecznie utworzyć po kilka osobnych oddziałów każdej klasy i pomnożyć odpowiednio liczbę nauczycieli.

Już to miasteczko nasze podnosi się pod każdym względem, a toby porównał jego stosunki towarzy-



Dzieci góralskie. Obraz Gersona, rozlosowany przez warsz. Towarzystwo sztuk pięknych między jego członków.

TYPY I POSTACIE LUDOWE.

skie, jego ruch handlowy, postęp przemysłowy a nawet chociażby tylko fizygnomią zewnętrzną, z tém co było dawniej, nie poznałby pewnie Lwowa. Wszakże są ludzie co zapamiętują jak dzikie kaczkę pływały na bagnach w pobliżu ulicy Sykstuskiej, jak kupy śmieci zalegały po obu bokach Pełtwi, tam gdzie dziś plac Maryacki; wszak wszyscy pamiętamy jak sady owocowe zieleniały w tém miejscu, gdzie dziś ciągnie się ulica Majerowska, St. Germain naszej arystokracji, ulica co wzięła nazwę od właściciela sadów wspomnianych. Upiększył się Lwów do niepoznania, od czasu jak kolój żelazna połączyła go ze wchodem i zachodem, z Krakowem i Czerniowcami; ruch handlowy zwiększył się niezmiernie, a dzielnica miasta przyległa do dworców obu kolei, *Nowym światem* zwana, dawniej raczej do wsi, niżeli do przedmieścia podobna, podnosi się z dniem każdym, przybiera fizygnomią mia-



ATAMAN I ŻNIWIARZE (gub. kijowska). Rysował z natury Przyszychowski.

sione zostały w podobny sposób, za staraniem tu-tejszych literatów, zwłoki Stanisława Jaszowskiego, pracowitego i znanego w swoim czasie pisarza i publicysty, współpracownika jedy-nego za jego czasów we Lwowie wychodzącego pisma *Gazety lwowskiej* i *Rozmaitości*, autora kilku powieści historycznych, tudzież wydawcy pism zbiorowych *Słowianina* i *Dniestrzanki*. W owym czasie ubóstwa literackiego Jaszowski pracował skrzętnie na téj niwie, która mu się nie wywdzięczała niczem, a wzięwszy raz pióro do ręki, nie upuścił go aż do śmierci, zachęcając do pracy w tym kierunku młodszych, co świetniejszym od niego zabłysnęli później talentem. Stara księga i wieniec na trumnę rzucony przy powtórnym pogrzebie, były całym uczczeniem wieloletniej pracy i zacnych usiłowań.

sta, zabudowuje się, zapełnia domami zajezdniemi i sklepami, tak że z czasem w tę stronę przeniesie się główne tętno ruchu miejskiego.

Na zakończenie pozwólcie jeszcze dodać słów kilka o bardzo ważnym nabytku, którym powięk-

szony ruch, wymaga pomnożenia środków komunikacyjnych; to skłoniło kilku przedsiębiorców, iż zawiązali spółkę, mającą na celu wybudowanie kolei konnej wewnątrz miasta. Spółka rzeczona podała prośbę do rady miejskiej o udzielenie jej koncesyi i odstąpienie gruntu na przestrzeni której kolej ta ma przechodzić. Rada miejska, przychylając się do tak korzystnego dla miasta zamiaru, rozpoczęła układy, celem zastrzeżenia gminie pewnych odsetków od czystego dochodu z projektowanej kolei, w zamian za udzieloną pod nią przestrzeń ziemi, tudzież dla uzyskania rękojmi, że spółka zobowiązań swych dotrzyma. Układy te niezawodnie wkrótce pomyślnie się zakończą i dziś już można być pewnym, że za dwa lata będziemy jeździć koleją konną po Lwowie w wygodnych wagonach, za opłatą ośmiu groszy od osoby za kurs najdalszy, bo taką cenę najwyższą zastrzegła u spółki rada miejska.

Roboty około kolei brodzkiej i dworca na przedmieściu żółkiewskim zwawo postępują, i z dniem pierwszym października będziemy już mogli zrobić wycieczkę koleją we wschodnie obwody Galicyi. Pod budowę dworca zajęto część cmentarza u stóp Wysokiego zamku, zwaną *Paparówką* i od lat dwudziestu już zamkniętego. Pomniki z téj części cmentarza przeniesiono na cmentarz łyżakowski, podobnie i kości wykopane z grobów tamtejszych. Przez cały miesiąc codziennie prawie mieliśmy żałobny, szczególny w swym rodzaju widok pochodów, przewożących po wiele trumien naraz na kilku karawanach. Między innymi przenie-

szony ruch, wymaga pomnożenia środków komunikacyjnych; to skłoniło kilku przedsiębiorców, iż zawiązali spółkę, mającą na celu wybudowanie kolei konnej wewnątrz miasta. Spółka rzeczona podała prośbę do rady miejskiej o udzielenie jej koncesyi i odstąpienie gruntu na przestrzeni której kolej ta ma przechodzić. Rada miejska, przychylając się do tak korzystnego dla miasta zamiaru, rozpoczęła układy, celem zastrzeżenia gminie pewnych odsetków od czystego dochodu z projektowanej kolei, w zamian za udzieloną pod nią przestrzeń ziemi, tudzież dla uzyskania rękojmi, że spółka zobowiązań swych dotrzyma. Układy te niezawodnie wkrótce pomyślnie się zakończą i dziś już można być pewnym, że za dwa lata będziemy jeździć koleją konną po Lwowie w wygodnych wagonach, za opłatą ośmiu groszy od osoby za kurs najdalszy, bo taką cenę najwyższą zastrzegła u spółki rada miejska.



KUJAWIAK. (Podług fotografii Majorkiewicza).



KUJAWIANKA. (Podług fotografii Majorkiewicza)

39026



szone zostały zbiory Zakładu im. Ossolińskich. Wy-
służony major wojsk austriackich Kühnel, rodem ze
Złoczewa w Galicyi, obecnie zamieszkały w Bernie
na Morawach, ofiarował Zakładowi bogaty i z wiel-
kiem znawstwem nagromadzony zbiór obrazów, ry-
cin, rzeźb, kameów i innych starożytności artystycz-
nych. Zbiór ten posiada rzeczy niezmiernie cenne.
Gromadził je major Kühnel ze szczególnym zamilo-
waniem, po większej części podczas swego we Wło-
szach pobytu, a obecnie, w obawie by po jego
śmierci nie rozproszyły się, zapytał kuratory Zak-
ładu Ossolińskich, czyby nie przyjęła opieki nad
niemi, przyłączając je do swych zbiorów. Rozumię się
że propozycja chętnie została przyjęta, i oto zbiory
pomienione nadeszły już do zakładu. Nim będą za-
regestrowane, ułożone i na widok publiczny wysta-
wione, wspomnę tu o tém tylko, o czém z pobieżnego
przekonałem się wejrzenia, że zbiór ten składa się
z przedmiotów znakomitej artystycznej wartości. Po-
między stu kilkudziesięciu obrazami znajdują się
dzieła mistrzów, oryginały Rembrandta i innych.
Przybywa więc Zakładowi piękna galeria obrazów,
której mu niedostawało. Najcenniejsze atoli w zbiorze
tym są teki rysunkowe, zawierające oryginalne
szkice najpierwszych mistrzów, a pomiędzy temi wła-
snoręczne szkice Rafaela. Skoro zbiór będzie upor-
ządkowany, doniosę o nim więcej szczegółowo.

Konkurs dramatyczny dotychczas nierozstrzy-
gnięty. Rozmaite przeszkody nie dozwoliły dotąd
ukończyć odczytu sztuk celniejszych w pełnym ko-
mitecie. Obecnie niektórzy członkowie komitetu
wyjechali z miasta, jak zwykle w porze letniej, a za-
tém wyrok ostateczny zapewne nie tak jeszcze rychło
będzie mógł nastąpić.

BABAKAI.

(Podanie ludu węgierskiego).

Płynąc statkiem parowym wzdłuż Dunaju i mi-
nawszy Panczowę, Bazias, Gradirdie, Moldawę i Co-
ronini, spostrzegamy w pośrodku Dunaju olbrzymią
skałę zwaną Babakai, do której przywiązane jest po-
danie ludu, sięgające czasów gdy Turcy Węgrami
rządzili. Okolica jest przesłizna; naprzeciw BABA-
kai wznoszą się precudne ruiny starożytnego zamku
Golubacz, które o wiele w swęj piękności nadreńskie
przechodzą. Nad samym brzegiem Dunaju, widać
ośmiokątną, silnie zbudowaną wieżycę, która niegdyś
do dolnego zamku należała. Ztąd w górę ciągną
się podwójne mury z wieżycami, połączone z górnym
zamkiem, składającym się z trzech wież, stojących na
trzech oddzielnych skałach. Jest to miejsce gdzie
się wznosił rzymski Castel lupus.

Golubacz był r. 1391 pierwszym miejscem, które
po upadku Konstantynopola Turcy zdobyli. Wedle
podania zamek ten zbudowała piękna Turczynka Ge-
rina i służył jęj, jak czeskiej Libussie Wyszehrad,
za miejsce schadzek z kochankami, które zwykle
krwawo się kończyły i ztąd to Turcy zamek ten Gö-
gerdszinlik, to jest gołębnikiem nazwali.

Dziwnie piękną jest ta okolica. Szeroki Dunaj
wspaniale swe nurty toczy i z szumem skałę BABA-
kai okrąża. Ztąd zachwycająca poczyna się okolica.
Łoże skalistém nadbrzeżem coraz więcej ścieśniane,
szybciej swe nurty pianą okryte toczy, a brzegi ocie-
niają się lasami, i tu zaczynają się wodospady, które
statek parowy z niemałymi trudnościami przebywa.

Gdy jeszcze Turcy byli panami Węgier, w Goluba-
czu przesiadywał ze swoim haremem aga turecki Ben-
Oglu. W pobliżu Golubaczu, na obszernej równinie,
miał swe posiadłości bogaty magnat węgierski Janos
Erdöd, który robiąc częste wycieczki w swe rozle-
głe majątki, zawsze tuż pod zamkiem agi przejeź-
dzał. Dzień był pogodny, Dunaj uroczym szumił,
a słońce już ku zachodowi się mając, magicznie za-
mek i okolicę oświecało. Janos Erdöd właśnie wrac-
ał z jednej ze swoich wycieczek, gdy w chwili kiedy
tuż pod zamkiem przejeżdżał, ocknął go z głębokiej
zadumy rzut ciężkiego przedmiotu, który tuż pod
kopyta dzielnego bieguna upadł. Erdöd wstrzymał
swego rumaka, żwawo zeń zeskoczył, przedmiot rzu-
cony podjął i z niemałym podziwem ujrzał kamień
owinięty pergaminem, na którym końcem ostrego nar-
zędzia wyryte były następujące słowa:

„Janosu Erdöd, ratuj chrześciankę, która jest
w mocy agi. Cel swoich marzeń osiągniesz. Jutro o
tęj porze czekam cię u dolnej baszty. Marya Etwös,
zwana Oglu Disdeida.“

Erdöd, odczytawszy to pismo, wykrzyknął radośnie,
bo poznał pismo swęj narzeczonej, którą uważał za
umarłą lub wygnankę w głębokiej Azji. Rzucałszy
jeszcze raz spojrzenie na szczyty zamku, dosiadł ru-
maka i lotem błyskawicy pogonił ku siedzibie
swojej.

Nazajutrz wieczorem w zamku agi wielkie było
zamieszanie. Aga srożył się i zżymał jak lew roz-
drażniony. Disdeida, jego najpiękniejsza niewolnica,
znikła bez śladu! Aga rozesłał swych siepaczy, jan-
czarów i rzeźniców po całej okolicy, w celu wyszu-
kania zbiegłej, lecz mimo łożonych starań, niepodo-
bna było wykryć miejsca pobytu Disdeidy.

Aga Oglu z dniem każdym stawał się coraz sro-
ższym dla swoich poddanych; gdy nakoniec jeden
z janczarów wywiadał się o miejscu pobytu Disdei-
dy, a oznajmiwszy to panu swemu, otrzymał rozkaz
przed wschodem słońca dostawić ją do haremu.

Chytry janczar, wraz ze swymi towarzyszami, przy-
wdzawszy strój serbskich wieśniaków, a władając
przytęm niepospolicie ich językiem, niby zbieg tu-
recki udał się do zamku Erdöd, gdzie Disdeida prze-
bywała i znalazł tam gościnne przyjęcie. Lecz
w nocy, gdy wszystko głębokim snem ujęte było,
janczar rzucił się na załogę, wymordował część
znaczną i porwawszy Disdeidę, począł ku Goluba-
czowi uciekać. Wtedy to jeden z towarzyszy jego
nabiegł i przyniósł głowę, jak mniemał, Janosa Er-
död. Okrutny janczar przywiązał tę głowę Disdei-
dzie na szyji i tak ją adze Oglu przedstawił.

Aga z szyderym uśmiechem powitał nieszczę-
śliwą, a zapewniając iż jęj nic złego nie uczyni,
wsiadł z kilku rzeźnicami i z Disdeidą do łodzi tuż
u brzegu będącej i podążył ku skałce wznoszącej się
śródo Dunaju. Tam przybywszy, zaprowadził Dis-
deidę na najwyższy szczyt skały, z kąd zamek Erdöd
widzieć można było, i kazał nieszczęśliwą do skały
przykuć, pozostawiając ją na pastwę śmierci głodo-
wej. Gdy oprawy swą robotę już ukończył, aga
wskazał Disdeidzie zamek Erdöd będący w płomie-
niach i głowę mniemanego jęj kochanka, którą u jęj
nóg złożono, i odchodząc, z szatańską radością zawo-
łał: *Babakai!* — to jest żałuj.

Erdöd w czasie napadu na zamek na pobliskim
błoniu polował na czaple, gdy naraz ujrzał swą sie-
dzibę w płomieniach. Wtedy, domyśliwszy się przy-
czyny pożaru, poczwałował ku zamkowi; lecz przy-
bywszy tam, znalazł tylko zgłiszczce i trupy. Disdeidy
nie było. Gorąca krew węgierska w nim zawrzała.
Pośpiesznie zgromadził rozbiegłą załogę i pogonił
ku Golubaczowi. Docierając już do zamku agi, uj-
rzał na skałce postać białą, która ku niemu ramiona
wyciągała. Poznał ją, spiął konia i rzucił się
w nurt spieniony Dunaju. Niebawem dotarł do
skały, a powróciwszy z oswobodzoną Disdeidą na
brzeg, gdzie jego towarzysze oczekiwali, rzucił się
na Golubacz. Nim jeszcze słońce na zachodzie spo-
częło, zamek agi był w rękach Węgrów, a srogi Ben-
Oglu do skały śródo Dunaju przykuty. Gdy Janos
go opuszczał, aga usłyszał własne swe słowa, które
wyrzekł był do Disdeidy: *Babakai!*

Janos połączył się niebawem z Disdeidą węzłem
małżeńskim i opuścił okolicę Golubaczu. Bathyany
uwolnił Węgrów z niewoli tureckiej, a Ben-Oglu za-
kończył życie na skałce, która po dziś dzień nazwę
Babakai nosi.

Wł. Zieliński.

LISTY

TEOFILA LENARTOWICZA

o literaturze i sztuce włoskiej.

Czém w poezji najpiękniejsze kolendy ludów,
tém są rzeźby *Lucca della Robbia* w rzeźbiarstwie
włoskiem. Jego muza artystyczna zatrzymuje się
na cichej wierze, na dobrych uczynkach, lepi z gli-
ny pastuszków, Matkę Najświętszą Maryą Panne
i Zbawiciela. Bierze do pomocy synowca z równym
talentem, *Andrzeja*, i krewnych, także rzeźbiarzy,

a wszyscy oni, nie chcąc tracić czasu na kucie w mar-
murze, śpieszą się przyśpięwywać *Małemu* i rozsy-
łać po wszystkich miastach włoskich owe swoje be-
tlemskie kolendy gliniane.

Aż do Robbiów rzeźbiarskie arcydzieła własnością
były jedynie wielkich muzeów i wielkich panów, wy-
rabiane w marmurze, lud zaś poprzestawać musiał
na podrzędnych robotach; owóż z tego względu Łu-
kasz ze swoją rodziną postanowili w glinie palonej,
za tanie pieniądze, rozpowszechniać między ludem
rzeźby i w ten sposób wpływać na wyrobienie wy-
obrażeń o piękności w swoim narodzie. A jak dale-
ce przypadł on do serca spółziomkom, dowód że nié-
ma większego miasta w Toskanii, gdzieby się Łukasz
nie znajdował; Florencyja posiada nieskończoną ilość
jego robót, każdy prawie portyk kościoła ozdobiony
jego arcydziełami; nad bramami szpitali, nad kap-
licami kędy składają ciała umarłych, wszędzie Łu-
kasz. Jego Madonny rozdzielały łaski na wierzącą
prostotę, jego aniołowie zatrzymują wzrok dzieciąt-
tek, które z ramion matczynych do tych się swoich
krewnych uśmiechają.

Najpiękniejsze rzeźby Łukasza znajdują się w do-
mu podrzutków, w szpitalu zwanym niewiniątek we
Florencyi, w Pistoji i Prato. Temi prawdziwie po-
bożnemi pracami, tymi świętymi, temi Panienkami
przezystemi, Łukasz przyozdobił Toskaniją; to téż
imię jego w tym kraiku tak jest popularne, jakby
żył jeszcze, jakby duch jego przy każdym stole ubo-
giego zasiadał.

Są ubodzy we Florencyi, którzy posiadając robo-
tę Łukasza, za którą mogliby wziąć znaczne piéni-
dze, przekładają biéde nad rozstanie się z ukocha-
nym arcydziełem. Niech jednak czytelnicy moi,
którym nieznane są jego prace, nie myślą że to
snycerz mniejszej od Donatella, Ghibertego, Jana
z Bolonii wartości. Każda robota gliniana Robbi
stać może obok wszystkich wielkich mistrzów. Ja-
kież-bo to nieskończone bogactwo draperyj, jaka roz-
maitość gestów, jaka prawda na obliczach, jaki
wyraz odpowiedni charakterom! Draperye Łuka-
sza przypominają nieco Ghirlandaja i Filippino
Lippi. Są to kombinacje kwiatów, gra liści róza-
nych i stokrociowych, labirynty z poplątanych lilij.
Zdaje się patrząc na te jego draperye, że ci anio-
łowie i święci nie w szatach chodzą, ale w liściach
kwiatów, które się na nich za powiewem wiatru roz-
chylają.

Jak powiedziałem na początku, naród włoski po-
siada popęd ku piękności; zadowolenie oka artysty-
czne tak tu jest koniecznym, jak pożywienie. Owóż
potrzeba takiego właśnie ludu, żeby sztuka stała się
popularną; gdzieindziej nawet Robbia pozostałby
nieznanym.

Łukasz, jak wszyscy wielcy rzeźbiarze i malarze
włoscy, należy także do tak zwanych cinque-centi-
stów XV stulecia; pracował on razem z Ghibertim
i w galerji Uffizii znajdują się jego roboty w mar-
murze. Znać że w początku, zanim wszedł na dro-
gę swego przeznaczenia, zamierzał przechodzić
zwykłą kolęj rzeźbiarzy, kuć w marmurze i pod
protekcją panów i książąt prowadzić swój zawód.
Czasu w którym zerwał z urzędową że tak powiem
szuką, nie oznaczają dokładnie jego biografowie; ale
musiało to nastąpić wtedy, kiedy uczuł największą
siłę swoje i kiedy mu jego dobry geniusz odrębną
wytoczył drogę.

Płaskorzeźba i wypukłorzeźba, jak u wielu zna-
komitych artystów, tak i u Łukasza główną rolę
odgrywa; posągów utworzył mało, lecz grupy i po-
emata rzeźbione zostawił nam po sobie ten pastuszek
Boży. Robił także półmiski gliniane, ozdobne
wieńcami owoców, kwiatów, żabek i jaszczurek po-
luskających; robił wieńce do napisów, chrzcielnice,
umywalnie w zakrystyach, a z każdej z tych ro-
bót zdaje się dolatywać nas powiew wiecznej
wiosny.

Uczniowie akademii florenckiej rysują z antyków,
lecz nikt nie studjuje Łukasza, a jednak na ścianach
tęj samej akademii, jak szata godność oznaczająca,
rzeźby Łukasza się świecą. Tak to, pomimo woli ludz-
kiej, prawda na wierzech zawsze wychodzi.

Pierwsze rzeźby della Robbia widziałem w A-
rezzo, a był to jeden z moich najpiękniejszych dni.
Po długiej drodze z Perugii, przybyłem do tego
miasta i copędzej pobiegłem na wzgórze, gdzie

się znajduje katedra, a obok niej dom w którym urodził się Francesco Petrarca, śpiewak miłości platonicznej.

Z myślą o sonetach, o poemacie Afryka i listach Petrarki, stanąłem przed katedrą, a czytając napis na domu urodzenia poety, o zgrozo! nie myślałem już o nim. Piękność miejsca, któremu Buonarrotti wiele ze swoich utworów przypisuje, ta nieobjęta u stóp wzgórz dolina, gdzie góry skrajne zdaje się deptać jeszcze w drodze ku Alwernii św. Franciszek z Assyżu, dokoła katedry cienie drzew platanowych na przedziwnej platformie, posągi na schodach kościoła Medyceuszów, jak wszędzie w Toskanii, — wszystko to powitałem wzrokiem człowieka, który spotykając się z życzliwym spojrzeniem, wyciąga rękę, wołając: *salve!*

W kościele, po lewej ręce z kaplicy przy wejściu, ujrzałem wychodzącą niewiastę z dzieciną na ręku: leż miała pełne oczy, a radość na twarzy. Ominąłem ją, śpiesząc podziwiać razem z towarzyszami podróżny *Madonnę della Robbia*, na której widok doświadczyłem uczucia, jakiego nigdy nie zapomnę. Wszystko com sobie wyobrażał od młodych lat moich o Matce Bożej znalazłem w tej rzeźbie. Oczy moje oderwać się nie mogły od tej gliny pomalowanej i przyszło mi na myśl że chyba święty Łukasz za malarza podawany i rzeczywiście w opisie życia Zbawiciela największy malarz, pomagać musiał temu Łukaszowi z Robbii; bo i jakżeby sam potrafił tę anielską utworzyć Pannę? I znowu myśl — co jak prawda promieniem lecąc z wysoka, świeci w słowie mędrców religijnych, huczy, grzmi w muzyce, tęczy się w obrazach, ścina w marmurze i krystalizuje w pomnikach architektury, — wróciła mi jak echo znajome i byłem szczęśliwy, że w życiu przekonałem się o tym. W zakrystyi, kędym zaszedł o mszę się zapytać, zastałem też samą niewiastę, którą widział przy wejściu; składała na stole gdzie zwijano ornaty, skromny swój datek, na podziękowanie że jej Madonna uzdrowiła dziecinę.

Błogosławiony ty ludu z twoją dzieciną wiarą! Dziwna to rzecz, że patrząc na arcydzieła Robbii, nie pytamy w jakim to czasie dokonane. Jego pastuszki, jego aniołowie i Madonny wprowadzają nas w świat, po którym historia przechodzi jak fala, nie zmieniając ani w życiu, ani w obyczajach, ani w ubiorach, ani w prostocie serca, przez świat Bożego kmięcia, jak się nasz święty Wojciech pięknie wyraża.

Z Arezzo przez kraj cudny przejeżdżałem do Florencyi, w górach po drodze myśląc wciąż o Łukaszu i jego rozszerzaniu wiary za pomocą rzeźbiarstwa.

Podróżnicy nasi po Europie najmniej zaglądną do Włoch, a jeśli się który zapędzi za Alpy, to jest zmyli w drodze do Paryża i tu jakoś się zabłąka, to lata czasem całe siedząc we Florencyi, w Rzymie, w Neapolu, nie pomyśli że to jeszcze nie Włochy, że aby prawdziwie kraj poznać, należy młodemu podróżnikowi zwiędzić Pistoję, Arezzo, Perruggią, Assizy, Gubbio, Frosinone, Urbino, Rawennę, Bolonię, a jeśli może, i wszystkie miasteczka drobne. Wtedy dopiero, nasłuchawszy się podań, obejrawszy arcydzieła mistrzów, rozrzucone po całej ziemi włoskiej, będzie mógł mieć jakieś wyobrażenie nie tylko o Włochach, boć to najmniejsze, ale jak działała przez wieki na sztukę i społeczeństwo cywilizacja chrześcijańska.

Lud ten, zaniedbany naukowo, bo na dwadzieścia milionów mieszkańców, zaledwie cztery miliony czytać i pisać umieją, nie może się równać z ludem niemieckim w pracowitości i oświacie; posiada jednak stronę, której brak najzupełniej Niemcom: pewne już nie starorzemie, ale artystyczne bohaterstwo gestów, rzecz najzupełniej zatraconą w Europie, gdzie wojna zesłała do rzezi bez bohaterstwa, sztuka na wyroby galanterijne, muzyka na tureckie charivari bębnowe, kotłów i piszczałek. Owóż na obliczu Italii, dzięki artystom i cywilizacji starą, został jeszcze wyraz półbogów, i tego warto żeby się młoda uczyła Europa; piękniej bowiem naśladować gesta szlachetne, jak paryżkie głupstwa. Stare obrazy i stare tradycje, uczą tu jeszcze starego bohaterstwa.

We Florencyi widziałem drugie z naczelnych dzieł Łukasza. W dziedzińcu pod kolumnadą domu przytułku dla sierot, znajduje się rzeźba, przedstawiająca *Zwiastowanie Panny Najświętszej*. Zaszedłem

tam przypadkiem za pastuchem kóz, który pod portyk pędził kilkoro tego bydła i od którego dowiedziałem się, że to są mamki podrzutków, że ubogie pacholątka znają swe kozy karmicielki, i jak tylko mamka rogata wbiega do sali dzieciątek, wielka się tam okazuje po wszystkich kolébkach radość. Owóż za tym pastuchem wszedłem tam i przy zachodzącym słońcu zobaczyłem ten dziw chrześcijańskiego rzeźbiarza. Anioł tylko co się zwiął z niebios; pióra jeszcze porozstrzępiane, suknia w poruszeniu, czoło przedziwnej piękności, wyraz twarzy bezpłciowy, dziecinny; w ręku anioła lilia, jego czoło wzniesione, choć cała postać pochyłona, a po drugiej stronie *Róża Jerychońska*, gwiazda morza. Dla tej jednej rzeźby warto do Włoch przyjechać temu, kto ma oczy na podziwianie piękności i serce żeby je ocenić. Komu się podobają roboty francuzkie, niemieckie, kto się bawi sztuką, może sobie oszczędzić trudu; rzecz ta jest seryo i nie do wszystkich mówi.

A teraz od Łukasza, przejdźmy do jego synowca Andrzeja, a zobaczymy co porobił pod okiem stryja i czy zasłużył sobie na osobne wspomnienie w historii sztuki.

Owóż w rodzinie rzeźbiarzy Robbii, którzy pozostawili z gliny wypalane arcydzieła, tak zwane *terra-cotta*, Andrzej, drugi po Łukaszu, osobny i różny od stryja miał charakter. Już to nie pastuszek btlemski, który jaką widział Madonnę, taką ulepił, ale jeden z dawnowierców surowych. Andrzej więc jest grodowym rzeźbiarzem, z takich jak nasz Wit Stwos, tylko wyższy jeszcze prawdą artystyczną gestów i wyrazu twarzy.

Nieraz zastanawiałem się nad tą szczególną właściwością Włochów nadawania wyrazów odpowiednich figurom przez nich malowanym i rzeźbionym, jak oni odgadują typy wszystkich ludów ziemi, do czego niezdolni są Niemcy, wiecznie malujący Niemców, a Francuzi swoje galijskie, okrągłe policzki. Jedni też Włosi umieją oddawać ruchy figur w prawdzie ich narodowości. Pochodzi to, zda mi się, ztąd, że naród ten, tak dziwnie artystyczny, od dzieciństwa przepędza życie na cyrkach, w teatrach, wśród posągów i obrazów, a w szkołach uczy się deklamacyi poetów, i to estetyczne wykształcenie, obok wrodzonego geniuszu, daje mu prawdę gestów, innym nieznaną i niezrozumiałą.

Na siedmiu osobnych płytach kamienia we frontonie pistojańskiego szpitala, wzrok przychodzi zatrzymuje siedem cnót głównych, rzeźbionych przez Andrzeja della Robbia.

Na pierwszej widzimy odziewanie nagich. Ubóstwo ciśnie się pod progi dobroczynne; żołnierze w zdartych zbrojach, których szczęty jeszcze się bieder trzymają, a obok o gołych plecach biedacy i sierotki w łachmankach, które wiatr na nich trzęsie. Wszystko to zda się wołać: pomoc nam dajcie, dobroczyńcy ludzkości! Na ich wołanie wychodzą ludzie miłośni, wynoszący ów szaty, ów płótna, i uśmiechając się, rozdają je pomiędzy braci ubogich.

Na drugiej płycie, pomiędzy siedzące ubóstwo, bracia zakonnicy wnoszą koszyki z pokarmem. Trzeba widzieć te głowy obracające się ku braciom, te wzroki nie chciwe, ale oczekujące miłosierdzia, tę skromność i pokorę w zajmowaniu kąta jaki im ludzkość wydziela. Na tej tablicy artysta wyrzeźbił karmienie głodnych.

Na trzeciej niewiasty z dziećmi, znać w wielkiej posusze, przychodzą, błagając o kroplę wody dla swoich mdlejących dzieci.

Na czwartej widzimy pielgrzymów z tykwami i szerokimi kapeluszami przewieszonymi przez plecy, przychodzących z ziemi dalekiej, a dobroczynne wrota na odpoczynek im się otwierają. Pomiedzy przychodniami a goszczącymi zdaje się jakby stara panowała znajomość; witają ich otwartymi ramionami, jak przyjaciel, jak braci. Więc ów zdejmując z siebie torbę podróżną i skrzętnie ją w upatrzonym kącie mieści; drugi, szczęśliwy że nareszcie wgościnnie wszedł progi, opiera się wygodnie, usiadłszy na schodach, jakby sobie chwalił miękkość gościnnych kamieni; inny rozpowiada braciszce cuda swojej podróży; a inny jeszcze ze dzbaną pełnego odwilża gardło, po drodze ciężkiej i trudzącej.

Na piątej przedstawiono dwóch chorych na łóżkach szpitalnych. Jeden, młodzieniec, z obwiązaną głową,

patrzy w oczy odwiedzającego przychodnia i nadzieja nieopisana życia maluje się na jego twarzy. Z drugiej strony starzec, zwiesiwszy czoło, siedzi na łóżku, zamysłony znać o wieczności, której wrota zda się że mu już otwierają.

Na szóstej płycie frontonu widzimy okna zakratowane, ku którym zbliża się dwoje ludzi. Ręce ich puste, żadna torba o ich się nogi nie trąca, wypchana darami dobroczynności; niosą to tylko, co aniołowie: słowo pociechy strapionym.

Wreszcie na ostatniej, wyobrażona ostatnia z cnót głównych, grzebanie umarłych. Proch powraca do prochu, a uczciwość wyrządzone resztkom śmiertelnym, jakże jest miłosierna! Andrzej Robbia przedstawił tu chwilę zarazy, w której każdy zwykle unika niebezpieczeństwa i tylko prawdziwe miłosierdzie idzie za Mistrzem swoim i do zmarłych zbliża się bez wstrętu. Natura Boża zwyciężyła naturę ludzką, i oto nie wstręt, ale smutek święty okrył twarze liściowych, podejmujących zwłoki tego, co był ich bratem przed chwilą. Płaskorzeźba to jedna z najpiękniejszych i najpiękniejszych jakie mi się widzieć zdarzyło.

I takie arcydzieło znajduje się w jednym z mniejszych miast włoskich Pistoji, liczącej zaledwie do 7000 mieszkańców, co nie przeszkadza że to miasto, co do architektury pałaców, ulic, ogrodów, w niczym Florencyi nie ustępuje. We wszystkich najmniejszych miastach włoskich ten sam styl architektoniczny, tę samą widać wytworność gustu. Arystokracja włoska miała to do siebie, że się nie koncentrowała w jednym miejscu, około jednej rodziny, że była rzeczywiście arystokracją po całym kraju rozsianą i potężną wpływem na ogół mieszkańców, a nie wpływem na dworze tym albo owym. Ztąd te pałace po mniejszych ogrodach, te wille okoliczne, dowodzące że się od gniazda swego nie radzi byli oddalać, te upiększenia na każdym kroku spotykane. Arystokracja stawiała pałace, wieże do dziś dnia po górach sterczące; lud kaplice i ratusze, zachowujące święcie wszystkie najodleglejsze podania miejscowości.

O życiu Łukasza i Andrzeja niewiele mamy szczegółów. Vasari pisze, iż Łukasz pierwotnie poświęcał się sztuce złotniczej, podobnie jak Ghiberti i Brunelleschi, że od złotnictwa przeszedł do rzeźby; że pierwsze prace wykonał dla chóru Santa Maria del Fiore, a mianowicie tak zwane *cinque storielle*; dalej nade drzwiami zakrystyi *storie di musica*, płaskorzeźby śpiewaków wykute w marmurze, znajdujące się w galeryi *degli Uffizi*, wreszcie Zmartwychwstanie Pana Jezusa do kościoła *San Miniato*. Dodaje że doczekawszy późnego wieku, szczęśliwie zeszedł ze świata, mienie i talent zostawiając synowcowi Andrzejowi, przyjacielowi Savonaroli.

W rodzinie Robbii religia była głęboko zaszczerpioną; drzewo to święte rozrastało się w tej gromadce apostołów. Jakoż widzimy ich wiernymi religii, pomimo czynów smutnej pamięci papieża Aleksandra Borgia, o którego życiu Muratorii Guicciardini zostawili nam wiadomości. Owszem po śmierci wielkiego Hieronima, spalonego za wyrokiem papieża, Andrzej della Robbia syna swego w sukienkę ubogiego mnicha obłoczy, a dzieje się to wtedy, kiedy inny, również wielki artysta, Pietro Peruggino, po śmierci Savonaroli traci wiarę nie tylko w świętość instytucji Chrystusowej, ale w istność samego Boga, i umiera z rozpacz, że cnota nigdy tryumfu nie odniesie na ziemi.

Apologisci Borgii zrzucają całą winę zbrodni na Hieronima popełnionej na Medyceuszów; służalcze wszakże ich obrony nikogo ze sprawiedliwych nie przekonają. Za życia i po śmierci Savonaroli głoszone o jego cudach; uczniowie jego, artyści malarze po największej części, i ubodzy Florencyi opowiadali o uzdrowieniach cudownych, o widzeniach świętego męża. Wieści te mogą być wątpliwe albo prawdziwe, ale co żadnej nie podpada wątpliwości, to, że dusze artystów wielki ten męczennik odnowił i podniósł i że jemu to zawdzięczyć należy wychowanie moralne Rafaela, Michała, Andrzeja i tylu innych mistrzów sztuki, których dzieła dla naszej epoki, nie wyższego nie produkującej, są prawdziwymi, wciąż do serca mówiącymi cudami.

Stanisław Wysocki.

Tak mało, stosunkowo do potrzeby, mamy ludzi poświęcających się zawodom specjalnym, a mianowicie technicznym, że każdy ubytek na tym polu dotkliwą dla społeczeństwa naszego staje się stratą. Czujemy wówczas, że nam ubywa to właśnie, czego najmniej posiadamy; a jeśli przytém zmarły i w charakterze swym obywatelskim powszechnie był poważany, jeżeli oprócz zasług położonych w zakresie działalności urzędowej, i jako człowiek zjednać sobie umiał miłość i spóćzucie, wtedy strata poniesiona w dwójnasób jest bolesną, wtedy uczczenie jego pamięci słowem uznania, publicznym niemal staje się obowiązkiem.

Uwagi te nasunęła nam nastąpiona przed kilku tygodniami śmierć znanego chlubnie w zawodzie inżynierskim Stanisława Wysockiego, o którego życiu i pracach słów kilka powiedzieć tu zamierzamy, uprzedzając jednak czytelników, że będzie to tylko pobieżny zarys biograficzny; wyczerpujące bowiem ocenienie jego działań technicznych, odpowiedniemi byłoby chyba dla pisma specjalnego.

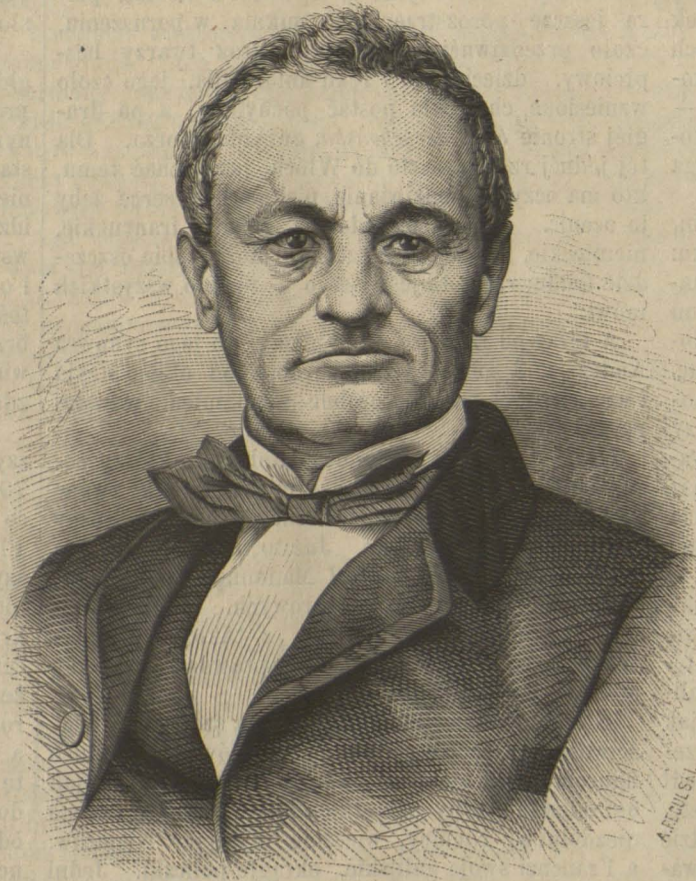
Wysocki urodził się w Busku d. 16 kwietnia 1805 r., z ojca Tomasza, wówczas prorektora gimnazjum pinczowskiego, a później rektora w Krakowie. Odbywszy nauki szkolne pod okiem i kierunkiem ojca, przeszedł na b. uniwersytet warszawski i po ukończeniu w nim kursów przepisanych, rozpoczął służbę publiczną, jako 18 letni młodzieniec, w b. Komisji rządowej spraw wewnętrznych i policji. Zdolności inżynierskie młodego pracownika zwróciły wkrótce na siebie uwagę jego władzy przełożonej, która po kilku latach przeznaczyła go do pomocy przy robotach około uregulowania koryta rzek Nidy i Kamionny. W roku 1830 powołany został na inżyniera Banku polskiego, a w r. 1839 na głównego inżyniera budującej się wtedy drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Mianowany w r. 1844 członkiem zarządu téjże drogi i naczelnikiem wydziału technicznego, na ważnym tém stanowisku spełniał gorliwie i z niepospolitą znajomością rzeczy powierzane sobie czynności, dotyczące tak budowy i ulepszenia

samój drogi żelaznej, jak połączenia pociągów tutejszych z wiedeńskimi i berlińskimi. Gdy w r. 1857 administracja kolei warszawsko-wiedeńskiej przeszła w ręce towarzystwa prywatnego, Wysocki, z ramienia rządu, otrzymał posadę inspektora głównego dróg żelaznych w królestwie polskim i pozostawał na niej aż do r. 1865, w którym wysłużył całko-

wność w usuwaniu napotykanym trudności, zwłaszcza przy budowie dróg żelaznych, która najobszerniejszą była polem jego działalności. Rzeczywiście, po Pancerze, kraj nasz nie posiadał zdolniejszego inżyniera praktycznego.

Ś. p. Wysocki miał także niepospolitą zdolność do malarstwa, której okoliczności tylko rozwinąć mu nie pozwoliły. Na wystawie przemysłu i sztuki odbytej w Warszawie r. 1826, zwracał uwagę portret z natury krędą przez niego wykonany. Malował też olejno, i wiele jego obrazów znajduje się po domach prywatnych, w ręku przyjaciół. Miłośnicy sztuk pięknych znają jego kopię z portretu Kołłątaja. Oryginał wizerunku tego, zdobiący salę Magistratu warszawskiego, jest pędzla znakomitego malarza ówczesnego, Józefa Peszki, którego Wysocki był uczniem.

W stosunkach prywatnych ś. p. Wysocki uprzejmy był, miły i uczynny, a w obejściu się z podwładnymi przystępny i wyrozumiały. Powszechnie też poważany i lubiany, umarł z zalem licznych swoich przyjaciół d. 21 maja r. b., w wieku lat 63. Cześć pamięci zacnego człowieka!



STANISŁAW WYSOCKI. (Podług fotografii Mieczkowskiego)

witą emeryturę.

Oto w najogólniejszym zarysie obraz działań śp. Wysockiego, obraz suchy i niedostateczny, bo czerpany wyłącznie prawie ze stanu służby nieboszczyka. Zostawiając specjalistom uwytadnienie prac inżynierskich zmarłego, dodamy tylko jeszcze słów kilka o zawodzie jego prywatnym.

Do rzeczywistych zasług Wysockiego w zakresie ogólniejszym, zaliczyć należy założenie przez niego pierwszej i jedynej podobno w kraju naszym fabryki asfaltu czyli smołowca. Fabryka ta, przed laty 30-tu blisko założona w lesistej okolicy nad kanałem Augustowskim, przez przeciąg czasu dość długi utrzymywała się z powodzeniem. Pierwszą myśl zaprowadzenia u nas téj gałęzi przemysłu powziął śp. Wysocki w czasie podróży swój w latach 1837—8, widząc w Paryżu nowe naówczas zastosowanie asfaltu do chodników ulicznych, posadzek i t. p. Jakoż powróciwszy do kraju, obeznany już dokładnie z fabrykacją smołowca, energicznie wziął się do jego wytwarzania, a śladem robót pod osobistym jego kierunkiem dokonanych, jest między innymi posadzka w sali giełdowej Banku polskiego, odlana ozdobnie, według własnoręcznego rysunku Wysockiego.

Jako pisarz, Wysocki, zajęty ciągle licznymi a męczącymi czynnościami urzędowymi, niewiele mógł się dać poznać. Wydał jednak osobno dwie broszury: „O robotach smołowcowych“ i „O brukach“, z których pierwsza dostąpiła nawet zaszczytu przełożenia na język francuzki. Pisywał także artykuły treści technicznej i sprawozdawczej do różnych pism czasowych, mianowicie do Dziennika politechnicznego, wydawanego przez braci Marczewskich i do naszego Tygodnika, w którym skróślił: „O kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej“ (serya I Nr. 14) i „O kolei żelaznej warszawsko-bydgoskiej“, z mapą (serya I Nr. 59).

Zdaniem specjalistów Wysocki, jako praktyk, niewiele miał sobie równych. Niejeden ze siwiejących już dziś pracowników pod nim służbę rozpoczął i jemu wykształcenie swe zawdzięcza. To też w kółkach techników znano go powszechnie *dziekanem* naszych inżynierów, a przytém przyznawano mu wielką bystrość i trafność w poglądach i rzadką zrę-

STRACH MA WIELKIE OCZY,

opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

Skręślił

Wacław Poncet-de-Sandon.

(Dalszy ciąg.)

W samą rzecz, głód mnie doskwierał, mimo sporego kawałka pasztetu, kilku sucharów i ciastek i mimo strachu i niespokojności, które zaczęły mnie obejmować. Wszystko albowiem, każdy czyn, każde słowo nieznanego, potwierdzało mój pierwszy domysł, że wpadłem w pułapkę i znajduję się w jaskini łotrów. Rozkaz zamknięcia furtki, — wyznaczenie warty, — zbiór rozmaitego gatunku bielizny i szlafroków, — biegłość jubilerska człowieka, który jak to powiedziałem, wcale nie wyglądał na jubilera, — spojenie służącego, — wyraźna chęć zrobienia tego i ze mną, — zabranie mojej broni, pod pozorem czyszczenia, — nareszcie niektóre słowa, jakie mu się wyrwały nieostroźnie, — wszystko to były fakta więcej jak podejrzané i nie pozwalały wątpić o smutnym położeniu mojem. Zapomniałem o stygnącej herbatce, o zgaszonym cygarze i zacząłem znowu niespokojną

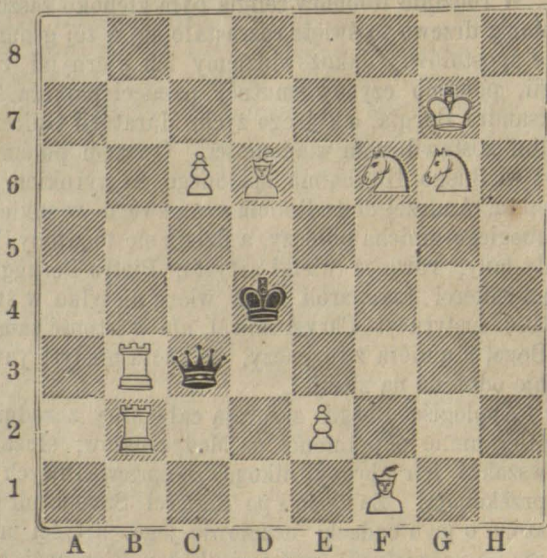
(Ob. dodatek.)

Szachy.

ZADANIE XXI.

Białe zaczynają i dają matę za 2-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 20.

Białe.

Czarne.

- 1) G1—A7 1) B2—C4 biorą.
2) A7—A1 † 2) C4—B2.
3) A1—B2 biorą † i mat.

Jeżeli czarne pójdą: 1) D6—B4, białe: 2) A7—C7 biorą †.
Gdy czarne: 1) B2—A4, białe: 2) F4—D3 †.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 27.

Nad skarby świata, wolę spokój sumienia.

(Dodatek.)

przechadzkę po salonie. Co robić? jak się ratować? gdzie uciekać? pytałem ciągle sam siebie i żadnej odpowiedzi na to pytanie znaleźć nie mogłem.

Tymczasem za ścianą posłyszałem jakieś głosy. Gwar ten już kilka razy obił się o moje uszy. Czy nie dowiem się czasem prawdy, podstuchawszy co tam gadają? pomyślałem sobie i przyłożyłem głowę do ściany.

Do największych głupstw i podłości zaliczam wszelkie podstuchiwania; ale zdaje mi się że w tym razie każdy mi przebaczy tę nikczemność. Tu albowiem chodziło o życie.

— No, jakże więc to się skończyło, mój Grzegorz? zapytał za ścianą ktoś dzwięcznym i rozkazującym głosem.

— Pan Czamara wpakował mu nóż w samo serce; ani drgnął biédak, zięwnął tylko i było już po wszystkim! — odpowiedział dobrze mi znany bas olbrzyma który mnie ugaszczal.

— Requiescat in pace! odezwał się już inny głos, także basowy.

— No, a konie tego oficera? Powiadasz że prawdziwie piękne i rasowe? — zapytał znowu głos pierwszy.

— Przepyszne, odpowiedział Grzegorz. Mówiłem już panom, że są to owe sławne rysaki.

— A, to piękna i mało znana u nas rasa — odezwał się głos drugi.

— Ręczę, że jutro wszystkie trzy będą nasze, odpowiedział Grzegorz.

— Bez wątpienia, muszą być nasze! odezwało się kilka głosów razem.

Odskokczyłem od ściany, bo dowiedziałem się więcej jak było potrzeba. Łza potoczyła mi się z oka. Biédny mój Paweł już nie żył! Jasna rzecz że go zabito i że mnie oczekiwała też sama kolój. Jak się ratować? znowu z rozpaczą zapytałem siebie. Lecz nie dano mi długo rozmyślać.

Drzwi się otworzyły i wszedł Grzegorz, którego twarz wydała mi się teraz jeszcze dzikszą, a uśmiech złośliwym, niosąc karafkę z wódką, a za nim pokazał się chłopiec z srebrną tacą, na której stały talerze i butelki.

— Oto masz, panie poruczniku, i wieszczę. No, w ręce pański!

Nie było co począć, trzeba było nadrabiać rezonem i skryć wzruszenie. Chwyciłem gorączkowo kieliszek i spełniłem go duszkiem. Wieczera była doskonała; składała się ona ze smacznego bulionu, kruchej sarniej pieczeni, potrawki z jarząbków z trufkami, ciasta i dwóch butelek starego węgryna. Jednak pomyślałem sobie — te lotry należą do wymyślnych gastronomów.

Mimo gorzkiego żalu po Pawle, którego uważałem już za trupa, mimo okropnego położenia mego, nakoniec mimo niespokojności i przestachu, apetyt nie przepadł. Jadłem potężnie, a Grzegorz, widocznie chcący mnie spoić, ciągle napełniał szklance. Tymczasem chłopiec siał mi pościel na sofie, obok ściany przy której przed chwilą podstuchiwałem.

Nareszcie zakończyłem wieczerzę.

— No — rzekł Grzegorz, zabierając z chłopcem resztki jadła — pościel gotowa. Połóż się pan i okryj się dobrze! Butelki nieskończone zostawiam, bo może pan zechcesz jeszcze do nich zajrzeć, jak to mówią u nas, do poduszki, cobym panu bardzo radził po dzisiejszej zimnej wannie. Dobranoc więc, panie poruczniku!

Po tej przemowie wyszedł razem z chłopcem.

Ja natychmiast ukląknęłam i zacząłem się modlić gorąco, polecając się opiece Opatrzności. Ta żarliwa modlitwa, zaspokojony apetyt, ciepło, a nareszcie stare wino, sprawiły we mnie jakąś zmianę: zacząłem się cokolwiek uspokajać i nabierać odwagi. Perswadowałem sobie, że może nie wszystko jest w istocie jak mnie się wydaje; że Paweł mój zapewne żyje i śpi pijany jak biała; że może to mówiono o kimś innym; że aby zabrać rzeczy moje i konie, czyż koniecznie potrzebowali nas zabijać? Zresztą, pomyślałem, trzeba było rejterować się z początku, teraz już za późno, zabrnąłem zbyt daleko. Nieubrany, bezbrony, zamknięty, pilnowany, pieszy, cóż pocznę przeciwko ogromnej zgrai hultajów, jeżeli to hultaje? Postanowiłem więc zdać się na wolę Opatrzności i jeszcze raz pomodliwszy się rzewnie, z namaszczaniem ducha, rzuciłem się na przygotowane dla mnie łóżce.

Lecz pożądany sen nie przychodził i nie chciał skleić znużonej powieki. Ponure myśli, straszne i krwawe sceny, przesuwały się w mojej wyobraźni; próżno chciałem je odegnąć wszystkimi sposobami. Roili się one po głowie w coraz nowych, okropniejszych, przerażających obrazach i spać mi nie dawaly.

Tymczasem za ścianą dał się znowu słyszeć jakiś gwar i pomieszane głosy. Mimowolnie przyglądnąłem uchem do jedwabnego obicia. W samej rzeczy toczyła się tam dość żywa rozmowa.

— Wiście co, panowie? mówił basowy głos, który już pierwój słyszałem. Nie mogę darować sobie całej naszej zgrai, żeśmy wczoraj wypuścili z rąk tak przepyszną zdobycz.

— To prawda, żeśmy pokpili sprawę! Mnie się zdaje, że winien tu cokolwiek Czamara — powiedział jakiś zupełnie dla mnie nowy głos. Lecz i sam, panie Józefie, choć tak narzekasz, niemniej jesteś winien. Uciekający biédaczysko, ze strachu nie widząc, otarł się aż o ramię pańskie, a pan go bezkarnie puściłeś. To nie do darowania.

— Nie przyznaję się do winy! odpowiedział pan Józef. Fuzya moja, jak sami wiście, nie miała już naboju.

— Fuzya nie miała naboju, odezwał się tenże sam nieznaný głos — ale pan miałeś porządný kordelas przy sobie. Trzeba było pomacać go pod piątę żebro, a ległby panicz bez ducha na miejskul!

— Dostyc tej sprzeczki, moi panowie! rzekł dzwięczny i rozkazujący głos. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Jego szczęście że się wymknął cało. Możemy jednak pocieszyć się po tej stracie. Dziś w naszą łapkę popadł lepszy i tłustszy ptaszek. Wynagrodzi on nam za wczorajszego. Starajmy się tylko, aby i ten nam nie uszedł.

— O, co nie, to nie! powiedział jakiś inny, chrapliwy trochę głos. Gdzie u licha ma się wymknąć? Leży pilnowany tu pod samym bokiem i zapewne w tej chwili śpi snem błogosławionych.

— I ja ręczę że tego nie będzie; zawołał ten którego zwano panem Józefem — teraz będę czujniejszym. Jeżeli nie od wystrzału, to od noża zginiel!

— Amen! zakończył dzwięczny głos jakoś ponuro.

Porwałem się z łóżka!... zdawało mi się, że to straszne amen wyrzeczono już nad moim trupem...

Póki był jeszcze jakiś maluczki promień nadziei, choć cień wątpliwości, chwyciłem się go jak tonący brzytwy, uspokajałem się, zdawałem się na los i Opatrzność Boską. Lecz teraz wszelka wątpliwość znikła: widziałem wyraźnie, dotykalnie, że czyhano na moje życie, że chciano mnie zabić! Moje piękne rzeczywiście rumaki, ciężka, chociaż pusta szkatuła, drogi pierścień, cenna broń, skusiły hultajów. Nieodwołalna i okropna śmierć oczekiwała mnie niechybnie.

Ludziom starym, znużonym wiekiem i dolegliwościami, styranym nieszczęściami, zmordowanym długą pielgrzymką, ludziom co już zakosztowali i użyli wszystkiego na świecie, co do dna wychylili pieniący się puhar życia, niełatwo się rozstawać z tym pięknym światem Bożym i jego cudami. A mnie przychodziło umierać w kwiecie sił, zdrowia i młodości! kiedy życie tak lubo nas pieści, obiecuje tyle nieznaných uroków, tyle niewyprobowanych, a tajemniczých rozkoszy! umierać wtedy, kiedy po raz pierwszy poznałem prawdziwą miłość, kiedy pełen najśodszych marzeń, śpieszyłem w objęcia mojego anioła, a przyszłość tak błogo nam się uśmiechała?

Nie, nie chcę umierać! wołałem do siebie w dziękim szaleństwie. Jakiś strach paniczny, jakaś niewypowiedziana rozpacz, a razem wściekłość i zawrotny szal opanowały mnie zupełnie. Uciec gdziekolwiek, schować się choćby pod ziemię, wyrwać się z tego wertepu morderców, z tej jaskini śmierci — oto była jedyna myśl moja, za obrębem której nic nie rozumiałem i nic nie pamiętałem. Uciekaj! mówiłem sam do siebie. Uciekaj! uciekaj! — wtórowały mi meble, zwierciadła, obrazy, okna, nawet ściany pokoju. Drząc włożyłem szlafrok, cizemki, opasałem się rzemykiem od szabli, wsunąłem na rękawy moje jeszcze płaszcz, włożyłem czapkę i postanowiłem... uciekać!

W tym zawrocie głowy zapomniałem że mam walizkę, że mogę wygodniej i przyzwoiciej przebrać

się do ucieczki. Wstrzymując oddech, tając bicie serca, otworzyłem drzwi do przedpokoju. Ogień na kominie już dogorywał, a zbój Grzegorz chrapał głośno na tapczanie. Na palcach przebiegłem pokój, cicho popchnąłem drugie drzwi i znalazłem się na ganku. Na dziedzińcu głuche panowało milczenie, warty nie było widać; lekko więc przeslizgnąłem się do furtki. Tu ledwo nie krzyknąłem z radości: furtka nie była zamknięta na zamek, tylko zasunięta dość grubym wrzeczadłem. W mgnieniu oka już byłem za wrotami. Z początku szedłem skradając się pomału, później zacząłem coraz bardziej przyspieszać kroku, umykając z polanki w las. Lecz zaledwo kilka staj w nim zrobiłem, zdało mi się że furtka skrzyknęła i że ktoś ją odemknął; zacząłem więc co tchu uciekać. W lesie, po tak silnym i nawałnym deszczu, było mokro i bagnisto; stopy moje grzęzły aż po kostki; w cizemki nabierało się błota; długi szlafrok płatał się i czepiał; pędziłem jednak z niesłychaną hyżością. Chwiałem się, przyklekałem, padałem nawet często, lecz w mgnieniu oka wstawałem i znowu leciałem jak strzała, przeskakiwałem duże krzaki, olbrzymie wywroty, darłem się przez gąszcz najciemniejszą.

W tym zawrotnym i szalonym pędzie zgubiłem po kolei czapkę, ramię, cizemki, rękawiczki, obryzgałem się błotem, zbiłem kolana, pokaléczyłem bosc nogi. Szumiało i dzwoniło mi w uszach, kręciło się w głowie, dwoiło i mgliło w oczach, brakowało oddechu w piersiach! Krzaki, złomy, gałęzie, ostre kolce, drapały i smagały mi czoło, twarz, ręce i piersi, rozdzierały koszulę i szlafrok, rwały płaszcz w szmaty. Nie zważając jednak na to, biegłem ciągle, biegłem bez końca! Strach paniczny i wrodzony nam zachowawczy instykt, wlały we mnie jakąś nadludzką siłę, wytrwanie, cierpliwość, zahartowały ciało i uczyniły je nieczułym na ból i rany.

Lecz wszystko kres swój mieć musi. Po takim szalonym, więcej jak godzinnym biegu, wyczerpały się siły moje; zmęczony i zbolały, upadłem w gąszcz, u stóp odwiecznego, rosochatego dębu.

Jeszcze raz podniosłem się, chcąc dalej uciekać, ale nie stawało już tchu w piersiach i nogi nie chciały mi służyć. Obejrzałem się gdzie jestem; lecz jakaż ogarnęła mnie rozpacz i wściekłość, kiedy spostrzegłem że mimo tak długiego i bystrego biegu, zaledwo o wiorstę oddaliłem się od zbójckiego przytułku. W okropnym zawrocie głowy i nieprzytomności, w jakiej się znajdowałem w czasie mojej ucieczki, musiałem ciągle krążyć około budynku, niby zamknięty w zaczarowanym kole. Upadłem więc w rozpacz na moje twarde i wilgotne łozę z mchu, błota, gałęzi i sęków.

Tymczasem wiatr zaczął mnie przynosić do ucha jakieś krzyki, wołania i hałasy. Widać postrzeżono moją ucieczkę. Po chwili zobaczyłem lunę i jaskrawe światło, wyraźnie pochodzące od blasku smolnych pochodni. Nie było wątpliwości... szukano mnie! Nie traciłem jednak nadziei. Znajdowałem się w niezmiernie ciemnym i zarosłym ostępie, w niesłychanej gęstwinie. Ale wkrótce i ta nadzieja znikła: posłyszałem trąbkę i skomlenie licznej psiarni. Mieli więc puszczać ogary i polować na mnie, jak na dzikiego zwierza. Jak zmylić pogoń? Co robić?

Zerwałem się na nogi, zrobiłem ze sto kroków naprzód, a później, powróciwszy ostrożnie temiz śladami, ze zwinnością wiewiórki i lekkością kota, wdrapałem się na olbrzymi dąb i skryłem między jemiolą i licznymi gałęziami jego. Dziwną, niepojętą, nadludzką siłę ma rozpacz! Do dziś dnia nie pojmuję jak mogłem wleźć na to drzewo; bo stary dąb, który dwóch ludzi zaledwo mogło objąć, na przestrzeni czterech prawie sążni, do samej wspaniałej korony swojej, miał zaledwo trzy sęki i ani jednej gałązki.

Siedząc na moim dębie, z gorączkową ciekawością i z bijącym sercem oczekiwałem co będzie z tego zwyczajnego w Ameryce, ale u nas zupełnie nowego rodzaju polowania. Psy z początku zgłupiały. Naprawdę grały trąbki i świstały harapy; ogary widać nie mogły zrozumieć, czego chcą od nich myśliwi. Tak przeszło minut z dziesięć, wśród krzyków, nawoływań i skomlenia psów. Nareszcie jeden ogar trafił na mój ślad, zagrał niby na grubego zwierza i puścił się moim tropem, a za nim pogoniła cała psiarnia. Wydałem lekki okrzyk radości i tryumfu, kiedy psy

w pędzie minęły dąb i pobiegły fałszywym, tylko co zrobionym śladem. Lecz tryumf był zawczesny. Dobiegłszy do mety, ogary znowu zaczęły rozsypywać się na wszystkie strony. Z bojaźnią i utęsknieniem oczekiwałem co poczną. Wtém tenże sam ogar, co pierwszy odkrył tropy moje, zagrał znowu i pędem puścił się nazad. W mgnieniu oka 20 psów grało pod moim dębem. Zginąłem!... odkryto mnie!.. wszelka nadzieja upadła!... Ściemniało mi w oczach, śmierć się zbliżała... śmierć straszna i niechybna!...

Wkrótce, śladem ogarów, ukazało się z dziesięciu drabów, wszystko olbrzyma. Czterech z nich niosło zapalone, smolne pochodnie, a między nimi poznałem zbója z Wygody i atletę Grzegorza. Skryty byłem doskonale, ale płat sukna, wyrwany z mego płaszcza i zwieszający się z gałęzi, zdradził mnie natychmiast.

— A co pan tu robisz? zawołał Grzegorz, wyraźnie rozgniewanym głosem. Czy do rodzaju głuszców i cietrzewi należysz? Bo dalibóg! trzeba być ptakiem, aby się dostać na takie grube i gładkie drzewo. Złaz pan natychmiast! Czyż nie lepiej było spać na miękkim posłaniu i w ciepłym pokoju? To prawdziwie licho mnie nadało, poić pana! Ale nie spodziewałem się, żeby huzar miał do trunku tak słabą głowę. Narobiłeś pan nam dobrego bigosu!

Nie było co robić, zlazłem i nie mówiąc słowa, spuściwszy głowę, szedłem za Grzegorzem, który postępował naprzód, oświecając mi drogę. Milczałem, bo nie chciałem rozdrażniać zbójów; miałem jeszcze jakąś nadzieję, że wyparlamentuję i wytarguję u nich przynajmniej życie.

— Aj, aj! zawołał znów Grzegorz, obejrawszy się i przypatrzwszy się memu ubraniu. Do czego to pan jesteś podobny? Twarz poobdzierana, nogi bosa i zakrwawione; taki piękny płaszcz i drogi szlafrok porwany w kawałki. Powiedz mi pan, na miłość Boga, co panu się stało? co pan sobie wyobraziłeś? jakie dziwaczne i urojone niebezpieczeństwo wymyśliłeś? Fe! daruj pan! nie wyobrażałem sobie nigdy, aby człowiek wojskowy, oficer, mógł być do takiego stopnia podszyty tchórzem.

Mimo niebezpiecznego i niewyjaśnionego położenia mego, obwinienie o tchórzostwo w ostatnią złość mię wprawiło.

— Czego ty zbójku, zawołałem z gniewem, udajesz niewinnego baranka? Czyż miałem oczekiwać dopóki mnie nie zarzniecie? Ratować życie, nie znaczy jeszcze tchórzyc. Macie mnie znowu w swoich łapach, zabijajcie więc, tylko prędzej, nie męczcie długo. Zobaczmy czy ten tchórz choć zmruży oko przed waszemi łotrowskimi nożami.

— My pana zarznąć? zawołał Grzegorz, robiąc wielkie oczy i zegnając się. Ha! ha! ha!... Dowiesz się pan zaraz, dodał odmykając furtkę, czym gościem jesteś i czy myślano pana zabijać. Powiem tylko że w przeciagu dziesięciu lat służby, nie słyszałem złego słowa od pana hrabiego, a dziś, z łaski pańskiej i jego śmiesznych przywidzeń i strachów, zostałem od ostatnich wyrazów zbesztany.

Te słowa oblały mnie niby zimną wodą. Otrzeźwiałem i zacząłem przychodzić do przytomności, a razem uznawać, że musiał szkaradnie się omylić i popełnić jakieś kolosalne głupstwo.

— Proszę pana, rzekł Grzegorz, otwierając drzwi. Otóż i zbieg nasz, panie hrabio!

W przedpokoju około komina, w którym znowu rzęsiście płonął ogień, na krzesłach, siedziało pięciu mężczyzn, w pięknych kożuszkach z siwych baranów, krytych cienkim zielonym sukniem. Chociaż stanąłem przed nimi obdarty, okrwawiony, obłocny i prawie w łachmanach i jak okazało się w bardzo komicznej moralnie pozycji, żaden z tych panów ani się uśmiechnął. Od razu poznałem, że się znajduję w obec ludzi wyższego i wykształczonego towarzystwa. Na przyjęcie moje jeden z tych panów, mężczyzna około lat czterdziestu, wysokiego wzrostu, pięknej i okazałej twarzy, powstał z krzesła i podając mi dłoń, rzekł dzwięcznym owym głosem, który już dwa razy słyszałem:

— Rekomenduję się panu, jestem hrabia T., dziedzie tej puszczy, właściciel i gospodarz tego domu, a to są moi przyjaciele, dodał wskazując na czterech panów siedzących na krzesłach, pan baron K., pan marszałek A., pan Józef S. obywatel tutejszy, mój sąsiad i znakomity legionista, kapitan T., jeden ze

zdobyców Samo-Siery. Przepraszamy bardzo pana, mówił dalej hrabia, skończywszy przedstawienie, bo katastrofę która go spotkała przypisujemy własnej winie. Postąpiliśmy sobie w tém zdarzeniu wbrew prawom staropolskiej gościnności. Według tych praw powinniśmy byli natychmiast wybiedz na spotkanie pańskie i zaprosić go do swojego grona, a wtedy zapewne ucieczka nawet przez myślby panu nie przeszła. Jednak nie obwiniaj pan nas o brak grzeczności; jeżeli nie zrobiliśmy tego, to ręczę że był ważny powód, który natychmiast objaśnimy, jak tylko pan zmienisz ubranie, gdyż uważamy że mocno tego potrzebujesz. Grzegorz! proś pana do salonu i przygotuj wszystko, co mu potrzebnem będzie! Za chwilę więc czekamy pana.

Uspokojony zupełnie i ujęty grzecznością gospodarza, mimo lekkich ran, obdarć i mocnego bólu w nogach, w dziesięć minut umyłem się, przebrałem i byłem gotów. W przedpokoju, kiedy wróciłem, stał już kipiący samowar, z butelkami i różnemi zakaskami.

— Proszę pana siadać, rzekł hrabia, podsuwając mi krzesło, podając szklanę gorącego ananasowego ponczu i prawdziwą hawanę. Niech pan poręcznik przy pierwszej znajomości naszej będzie łaskaw wyświadczać się nam z powodów swojej ucieczki, które, przyznamy się, niezupełnie są dla nas zrozumiałe. My zaś później odpłacimy się panu wzajemną spowiedzią, zobopólne zaś to wyznanie grzechów, zakończymy kielichem dobrego szampana. Czy zgoda?

— Ale z całego serca! zawołałem, ściskając hrabiego za rękę.

Opowiedziałem więc szczegółowo i otwarcie to wszystko, co przed chwilą mówiłem panom, zaczynając od wizyty faktora Mordki.

— Nie dziwimy się już teraz pańskiej ucieczce, zawołałi wszyscy bez wyjątku.

— A teraz przepraszam hrabiego, że pierwszy głos zabieram w odpowiedzi panu poręcznikowi, rzekł obywatel Józef S. swoim głosem basowym. Zresztą do tego pierwszeństwa mam nawet prawo, gdyż karczma Wygoda, od której zmory i myśli o rozbójnikach zaczęły pana poręcznika przesładować, należy do mnie. Rudobrody Żyd Chaim trzyma ją odemnie już 20 lat z górą i mogę panu zaręczyć, że do żadnych zmów z rozbójnikami nigdy nie należał i należeć nie będzie. Jest to poprostu Żyd głupi a ciekawy, jak pierwsza nasza rodzicielka Ewa. Wszystkie więc jego postęпки pochodziły z głupstwa albo prostej ciekawości. Co do wykręcenia nabożów, to nie wiem kto zrobił panu tę psotę, tylko ręczę, że nie Chaim; on nie uczyniłby tego za żadne pieniądze, z samego strachu. Dziwię się nawet, jak się ośmielił wziąć do rąk nabitą fuzyą? Co się zaś tyczy wysokiego draba w zielonej kurcie, to był pan Czamara, naczelnik strzelców czyli łowczy naszego gospodarza; kurta i oryginalny ubiór, to myśliwska liberya hrabiego, a nieznanymi panu kształtów nóż przy jego boku, to zwyczajny u nas i bardzo używany dawniej na łowach myśliwski kordelas. Szepty zaś pochodziły z następującego powodu. Chaim handluje czasem dobrym prochem, który go dochodzi drogą kontrabandy, co, jak pan wieś, jest rzeczą zakazaną. Właśnie po ten proch przyjechał Czamara i kupił ostatni worek. I oto przyczyna mieszania się i jankania Chaima, a prędkiego wyjazdu i krycia się przed panem Czamary. Dodam tu jeszcze, że słuszny wzrost Czamary i wszystkich ludzi, jakich pan spotkał w tym zakątku, pochodzi ze szczególniejszych gustów naszego gospodarza. Hrabia, jak niegdyś ojciec Fryderyka Wielkiego, król i elektor Fryderyk Wilhelm I, kocha się w olbrzymach. Cała jego przyboczna gwardya, trzydziestu strzelców, składa się z wielkoludów, również jak i cała nadworna służba, zaczynając od kamerdynera Grzesia, aż do pokojowca Jasia, który także z czasem obiecuje wybujać na olbrzyma. Reszta odpowiedzi należy do pana hrabiego; muszę tylko wyrzec jeszcze kilka słów w obronie mojej karczmy. Wygoda rzeczywiście zastępuje na to nazwisko. Zabudowanie porządne, pokoje duże, czyste i ciepłe, i zawsze prawie można tam znaleźć nietylko rzeczy nieodbitnie potrzebne podróżnemu, lecz nawet zbytkowe. Ale pani Chaimowa, która jest tam prawdziwym arendarzem i bez której głupowaty jej mąż dawnoby zbankrutował, wyjechała na jarmark i z tego powodu pan nic tam nie dostał.

— Każdy kupiec swój towar chwali, odezwał się baron, po którego głosie poznałem, że był to ten sam, co obwiniał p. Józefa o niezręczność i wypuszczenie z rąk kogoś.

— Towar? odpowiedział dość opryskliwie p. Józef. Ja nigdy kupcem nie byłem i niczem nie handlowałem w życiu, jak drudzy, co za towary pokupowali dobra i tytuły, których nigdy u nas nie słyszano i nie widziano.

Baron zponsored jak burak. Wyraźny antagonizm panował między tymi panami.

— W samą rzecz, pośpieszył przerwać hrabia, widocznie chcąc zapobiedz kłótni, reszta objaśnień do mnie należy. Od lat 15 wiosną i jesienią, a często i zimą zjeżdżam na kilka tygodni na obławy i łowy razem z gośćmi w tę puszcę. Zwykle dawniej koczowaliśmy w namiotach i szałasach, w których niezawsze było ciepło i wygodnie. Sześć lat temu kazałem zbudować to myśliwskie palladium. Z początku było to sobie wygodne, lecz prosto urządzone strzeleckie schronienie, z dobrze zaopatrzoną piwnicą. Lecz druga żona moja, z którą trzy lata jak się pobrałem, należąca do najzapaleńszych i najodważniejszych amazonek XIX wieku, oznajmiła mi, że podczas każdej myśliwskiej wyprawy odwiedzi nas na jaki tydzień, wraz z kilku przyjaciółkami. Na przyjęcie więc mojej drogiej łowczyni, kazałem urządzić mieszkanie z całym wykwintem. Właśnie dwa pokoje po drugiej stronie sionki i salon w którym posłano panu, należą do niej. Tu zaś mam oddzielne apartamenta, urządzone zupełnie po myśliwsku. Cokolwiek obronny stan tej pustelni (tak nazwałem ten dworek), który rzucił się panu w oko i dał powód do rozmaitych domysłów, jest koniecznym; przez większą część roku bowiem mieszka tu tylko leśnik z żoną i drobnymi dziećmi, jeden strzelec i lokaj pilnujący mebli, a w puszczy tej często kryją się włóczęgi.

— Lecz wszystko to są drobiazgi, przerwał marszałek. Niech hrabia oczyści nas najprzód z ciężkiego zarzutu niegościnności, to według mnie rzecz najgłówniejsza.

— Ale razem najsurowsza i najdrażliwsza dla nas, mój marszałku, odpowiedział, uśmiechając się, gospodarz.

— Jeśliś taki skrupulat, hrabio, rzekł p. Józef, to ja na chwilę zastąpię twoje miejsce i wytłumaczę się za ciebie. Po niepomysłnym dzisiejszym polowaniu, albowiem wypuściliśmy z ostępu młodego łoszaka, powróciliśmy z łowów bardzo późno, w dość ponurym i kłótliwym humorze. Lecz na wety, razem z pączkami, przyniesiono nam doskonałą wiadomość, że strzelcy odkryli starego ogromnego łosia, i to pod samym bokiem, zaledwo o kilka staj od pustelni. Dla złagodzenia więc swarów i przeszłej niepomysłności, zaczęliśmy zanadto zakrapiać szynkę warchlaka i łosie chrapy i zahojnie obléwać pączki. Otóż gdy pan przybył, byliśmy wszyscy w stanie niebardzo odpowiednim do przyjmowania gości. Ubraliśmy się, jak to mówią, porządnie. Pokazywać się więc osobie obcej i nieznanym w stroju i ubraniu, przy którym głównym mistrzem garderoby i szatnym był stary węgrzyn, żaden z nas nie chciał. A zatem kazaliśmy Grzegorzowi, aby przyjmawszy naszego gościa, nie mówił u kogo się pan znajdujesz, zbywał pana żarcikami, ogólnikami, a tymczasem starał się go spoić i ułożyć spać jaknajprędzej. Nazajutrz mieliśmy zwalić winę na znużenie, sen i Grzegorza, że nas nie obudził. Później już chcieliśmy wyjść do pana, bo kilka butelek selcerskiej wody i waza dobrze przyrządzonej limonady, zupełnie nas wytrzeźwiły. Lecz doniesiono nam, że pan już zasypiasz snem sprawiedliwych. Zaczęliśmy więc rozmowę o dzisiejszych chybionych i jutrzejszych spodziewanych łowach. Zakończenie tej rozmowy pan podsłuchał i to co mówiliśmy o łosiach, na nieszczęście przystosował do siebie. Otóż zdaje mi się że wszystko objaśnione. Możemy więc najspokojniej zajrzeć do obiecanych przez hrabiego lejkowatych kielichów, z nektarem wdowy Cliquot.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Uniwersytet wschodni w Lahorze.

Jakkolwiek antypatycznym dla Azji jest wpływ europejski, wszelako działa powoli na wszystkie sfery życia tamecznego. Naśladowując Europejczyków, Azyjacy w Turcyi, Persyi, w Indyach, w Chinach, dawno już zaprowadzili miejscowe gazety i dzienniki, wydawane w językach krajowych. Od lat dziesięciu w Konstantynopolu istnieje założona zupełnie na zasadach europejskich akademia nauk. Niektórzy Turcy wydrukowali rozprawy naukowe takiej wartości, że możnaby na nich podpisać nazwisko niejednego z członków akademii w Wiedniu lub Monachium. Uniwersytet jednak w formach europejskich dotąd jeszcze nie przyjął się w Azji; poprzestawała ona na seminariach duchownych i szkołach parafialnych, istniejących na tych samych zasadach, jakie kierowały wychowaniem publicznym w Babilonie i Assyrii. Ale w ostatnich czasach powstała w Azji myśl założenia także uniwersytetu wschodniego. Myśl ta wylęgała się pomiędzy świadomymi cywilizacyi europejskiej krajowcami, w północno-zachodnich Indyach.

Endgumeni Pendjab, czyli towarzystwo związane w Lahorze, w styczniu 1865, ma na celu rozkrzewianie wiadomości pożytecznych we wszystkich klasach społeczności miejscowej, za pośrednictwem wydawnictwa ksiąg w językach tamecznych. Towarzystwo składa się z krajowców wyznania mahometańskiego, brahmańskiego i innych, tudzież z urzędników angielskich i wojskowych zostających tam w służbie. Przy końcu pierwszego roku istnienia swego liczyło 244 członków, to jest 24 Europejczyków i 220 Azyatów. Towarzystwo założyło w Lahorze publiczną bibliotekę, która w r. 1866 liczyła 1400 tomów, zaprowadziło szkoły świeckie do początkowego wychowania, ustanowiło z łona swego komitet do egzaminowania ze znajomości języków używanych w Indyach północnych, mianowicie arabskiego, perskiego, ordu - hindostańskiego, sanskryckiego i hindusów, a cenniejszym z egzaminowanych kandydatów wydawało nagrody pieniężne, ze składek członków towarzystwa.

Wreszcie towarzystwo pendjabskie powzięło myśl założenia w Lahorze uniwersytetu w takim znaczeniu, jak uniwersytet francuzki lub akademia nauk, a przy niej wykład rozmaitych przedmiotów naukowych, tudzież języków sanskryckiego, arabskiego i perskiego, niemniej wydawnictwo w tychże językach poetów i historyków, oraz tłumaczenie z europejskich języków na tutejsze dzieła użytecznych. Projekt urządzenia uniwersytetu ze składek, złożony został gubernatorowi Pendjabu, jak donosi o tém sprawozdanie tutejszego towarzystwa, wydane w lipcu 1866 r.

L. R.

POMIĘDZY SCYLLĄ A CHARYBDĄ.

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Morzkowską.

(Dalszy ciąg).

Żądania jęj wydawały mu się dziecinne; wiedział że ziszczyć się nie mogą, że ona sama kiedyś pozna to i pożałuje. A jednak gdy odwoływała się do sumienia jego, klamać nie chciał; wiedział że inny człowiek zawiedzie ją w dobrą lub złą wierzę, ale on tym człowiekiem być nie chciał. I milczał, patrząc na nią z niewysłowionym żalem, jak na dziecko co żąda gwiazdy z błękitu.

— Emilio, wyrzekł w końcu, kocham cię! Czego żądasz więcej?

— Żądam życia twego i przyszłości, bo oddaję ci życie i przyszłość.

— A kto wie czy jutro nie pożałowałabyś tego sama. Poco wyzywać świat do walki, gdy on zapomina o nas? poco kłaść życie na szali, gdy i bez tego kochać się możemy?

Mówił to cicho, łagodnie, przyciskając ją do siebie. W tej chwili był zmienionym bardzo; czoło jego wy-

pogodziło się, wzrok błyszczał miękkim wyrazem, usta składały się do uśmiechu nieporównanej słodyczy. Ona patrzyła na tę zmianę sprawioną przez siebie, ale mimo to nie cofnęła słów swoich.

W uszach dźwięczały jęj wyrazy jego i zacięrały wrażenie sprawione uśmiechem i wzrokiem. Chciała się wyrwać z jego uścisku nie mogła, chciała przemówić — nie mogła. Ogarniona czarem jego woli, była bezsilna i bezbronna.

Są chwile nieobrachowane, które zwyciężają nas wbrew wszystkim przewidzeniom; są wzruszenia silniejsze od postanowień czynionych naprzód na zimno; są natury rzutne, rycerskie, lekceważące przyszłość własną. Emilia była jedną z nich, i kto wie czyby następna chwila nie stanowiła o całym jęj życiu, kto wie jakie słowa wymówić miały jęj usta.... gdy szelest zbliżających się kroków przerwał im wzajemny zachwyty, w którym topiły się ich duchy i serca.

Ręka opasująca jęj kibić gorącym i miękkim uściskiem rozwiązała się, oczy tonące w jęj oczach odwróciły się i nabrały zwykłego wyrazu, uśmiech miłości skonał mu na ustach, i znów podawał jęj rękę dawny Kalikst, idąc wolnym krokiem na spotkanie nowo przybyłego. Julian, niespokojny o siostrę, szedł ku nim.

Nazajutrz, gdy dość późno Kalikst wychodził ze swego mieszkania, zobaczył pokoje Emilii i Juliana na oścież otwarte; służba hotelowa porządkowała je bez pośpiechu. Tknięty niepokojem, zapytał co to znaczy.

— Wyjechali, odpowiedziano mu obojętnie.

— Gdzie? kiedy? zawołał gwałtownie.

— W nocy, pociągiem pośpiesznym do Zurich, mówiła *Stubenmädchen*, najspokojniej ścięrając kurze.

Głuchy okrzyk wydobył się z piersi Kaliksta, bo nie ludził się co do znaczenia tego wyjazdu. Emilia była straconą dla niego. Jego droga szła na potudnie. Na chwilę przyszła mu myśl, aby rzucić wszystko i gonić ją; chwilę jedną cierpiał jak młody szaleniec. Ale wkrótce wróciła rozważa i wstrzymała go. Bo czyż jutro tenże sam rozdźwięk nie ozwałby się między nimi? czyż nie rozdzieliły ich własne słowa jego? mógł-że się ich zaprzeczyć? A jednak gdyby był wiedział naprawdę że ją przez nie utraci, czy byłby je wymówił?

Gdyby człowiek mógł przewidzieć najodleglejsze skutki myśli, słów i działań swoich, czy nie wahałby się co minuta, czy postępowałby jak postępuje?

Zresztą pomiędzy nimi była wielka, zasadnicza różnica; na chwilę miłość zjednoczyć ich mogła, ale na chwilę tylko. On nie mógł powrócić do jęj wiary, ona pojąć jego zwątpienia. Pomiedzy nimi stało nieublagane doświadczenie życia i odpychało ich wzajem.

W ogrodzie hotelu Schlosslaufen, który spuszcza się aż nad sam wodospad Renu w Szafluzie, stał młody człowiek otoczony zgrają ciceronów i przewodników; ale znać niebardzo z nimi rozumieć się musiał, bo oni, obyczajem szwajcarskim, przemawiali do niego naprzemian po francuzku, po niemiecku i po włosku, żadnej nie odbierając odpowiedzi. Wszystkie te języki obcemi być musiały młodemu cudzoziemcowi, w którym rysy, obejście się, ruchy wyraźnie wskazywały Polaka. Był to zacięrający się coraz bardziej dawny, czerstwy, silny typ szlachecki. Pierwszy raz zapewne ze swojej wioski wychylił się na świat szeroki; wioska jednak musiała być pszenna i duża, bo zamożność widną była z ubrania młodego człowieka, z niskich ukłonów hotelowych ludzi, z frankówek które rozdawał niebacznie, jakby źródło ich nigdy przebrać się nie miało.

Był to jasny blondyn, zaledwie pełnoletni, wysoki, rzeźki, barczysty. Na twarzy jego czerstwej i ogorzalej znać było wyraźnie gospodarską pracę; jasny wąs, miękki i długi, obiecywał być kiedyś sumiastym, dziś okazywał jeszcze jedwabistość młodości; malinowe usta miały wyraz szczery, otwarty, śmiejący; oczy szafirowe, trochę może zbyt wydatne, jasno i poczciwie patrzyły przed siebie, z rodzajem urzędowej uwagi, ale bez zachwyty, jak gdyby nie chciał stracić nic z tego co go otaczało, lecz przytém i pojąć nie mógł, dlaczego to ludzie tak pięknym nazywają. Szedł więc posłuszny za swoim przewodnikiem, który z co-

raz to innej strony kazał mu się przyglądać wodospadowi, usiłując mu coś wytłumaczyć gestami — gdy nagle wzrok młodego człowieka odwrócił się od bałwanów spienionej wody i zatrzymał na grupie siedzącej o kroków kilka. Na ławce rzuconej wśród zarosli była kobieta tak blada, tak znękana i drżąca, że zdawała się ugiąć pod technieniem wiatru, chwiać od łoskotu fali. Oczy jęj pełne smutku zwracały się z niepocieszonym wyrazem na nurty Renu; na rżesach jęj drgały łzy, a usta blade składały się w uśmiech niewypowiedzianie bolesny, a jednak łagodny, jak cały wyraz jęj postaci pochylonej, jakby złamaną burzą nieznaną. Głowę wspierała na ramieniu siedzącego obok mężczyzny, którego twarz surowa i poważna harmonizowała z jęj smutkiem...

Była to Emilia z Julianem.

Nieznajomy spostrzegł Emilię i wzrok utopił w niej z niemy zachwytem. Daremnie przewodnik jego mówił coś i pokazywał, chcąc go pociągnąć winną stronę; on stał w miejscu jak wryty, oczyniony czarem jęj piękności, jęj smutku, zdając się zapominać o świecie otaczającym. Julian spostrzegł to w końcu i dotykając zlekka ramienia siostry, powiedział jęj coś półgłosem.

Kobieta powstała i oboje skierowali się w przeciwną stronę; ale nieznajomy zwrócił się szybko i szedł za nimi, niby żelazo pociągnięte magnesem, nie zdając sobie może sam sprawy z tego co czynił, nie mogąc odwrócić oczów zachwyconych od tęg kobiety, co nie wiedząc o tém, urzekła go samym widokiem swoim.

— Pan oglądałeś już to miejsce? mówił mu przewodnik.

Ale młody człowiek nie słuchał go, lub nie rozumiał i szedł ślad w ślad za Emilią. Ona nie uważała na to, ale Julian zniecierpliwiony zwrócił się znowu tak nagle, że nieznajomy skrzyżować ich musiał. Ścieżka była wązka; usunął się na sam jęj brzeg nieśmiało, lecz w chwili gdy Emilia przechodziła koło niego, długa jęj suknia zawadziła o gałęź klombu.

Odwrociła się by ją odczepić; ale on uprzedził ją, pochylił się, i drżącą ręką dotknął brzegu jęj sukni, uchylając krzew co ją zatrzymał. Wówczas zauważyła go dopiero i wzrok jęj roztargniony padł na twarz jego, pałającą teraz nagłym rumieńcem, na oczy pełne nieudanego zachwyty. Podziękowała mu lekkim skinieniem głowy i szła dalej, obojętna na świat zewnętrzny, zatopiona w egoizmie cierpienia.

On ze schylonem czołem szedł za nią, jak gdyby cień jęj smutku padł na niego i zamglił mu wesolą swobodę myśli; ale teraz już szedł ostróżniej, zdaleka, przybierając, jak mógł najlepiej, pozór zajętego turysty.

Ogród w którym się znajdowali, zasadzony na stromej górze wężowemi ścieżkami, spuszczał się do samej rzeki; przystanki i altany rozrzucone gdziegdzie dawały spoczynek i widok na wodospad. Emilia z Julianem zatrzymali się tuż przy nim na drewnianej galerii, drżącej od grzmotu fali i mokrej od piany.

Emilia wsparła się na balustradzie, nie zważając na mgłę kroplistą spadającą na jęj twarz i włosy, ogarniona straszną pięknnością szalejącej, rozkipiałej wody, łoskotem jęj biegu, jakby nagle znalazła się pośród chaosu.

I zdawało się że ten straszny zamęt otaczającego świata harmonizował z jęj usposobieniem, bo stała w miejscu zasłuchana, zapatrzona, nie mogąc oderwać oczów od tęg białej, w mgłę prawie zamienionej wody, co bałwan po bałwanie przebiegała przed nią i spadała w przepaść, gryząc wściekle skały które ją ścieśniały, wstrząsając ziemię wokoło. I wzrok jęj przybierał wyraz osłupiały; dziwny uśmiech wybijał na usta, jakby otchłań nęciła ją czarem tajemniczym, jakby szum fali dźwięczał w jęj uchu jakąś potężną pieśnią pokusy.

Julian patrzył na siostrę i przeraził się tym wyrazem. Czas jakiś uważał ją w milczeniu, aż wreszcie przerwać postanowił ten dziwny zachwyty.

— Emilio! wyrzekł biorąc jęj rękę; Emilio! potwórzył głośniejszy, i nie odbierając odpowiedzi, pochwycił ją w pół i odwrócił gwałtem prawie od widoku który ją oczarowywał.

Ona, jak gdyby budząc się ze snu, z pewnym żalem spojrzała na brata.

Julian przygarnął ją do siebie.

— Emilio, spytał, gdzie były myśli twoje?

— Gdzie? powtórzyła z wolna. Ja nie wiem sama. Nie myślałam o niczym, tylko ten szum i zamęt zdawał się kołysać mnie do jakiegoś snu bez marzenia; wśród tego łoskotu zapadałam w ciszę błogą, bez cierpień i pragnień; myśli moje wirowały w mózgu i przestawały boleć.

Te słowa wymówiła stłumionym głosem. Jednak młody człowiek stojący o kroków kilka dosłyszał je. Głos Emilii dźwięczny, wyraźny jak głos szklanego dzwonka, przeniknął go niepojętym dreszczem; mowa jej i postawa wyrażały głęboki smutek, a smutek ten znalazł echo w jego sercu. Choć nie znał powodu, jednak go podzielał, i gdyby w tej chwili żądano od niego niewiedzieć czego, byłby dał wszystko, by ulżyć jej bolesti. Ten głos budził w nim jakieś nowe myśli, nowe uczucia niepojęte dawniej, którym się poddawał z całą świeżością wrażeń naiwnego serca, bez walki, nadziei ni wyrachowań! Nie zastanowił się nawet nad tym, kto była ona, kto prowadzący ją mężczyzna, jaki był powód jej cierpienia. Tymczasem brat i siostra mówili dalej:

— Emilio! Chciałbym cię widzieć inną. Otrząśnij się z próżnych żalów, zapanuj nad marzeniem, miej odwagę spojrzeć w przyszłość.

— Przyszłość, bracie? dla mnie już niema przyszłości.

— Tak, w obecnej chwili, pochwycił; ale ona przyjdzie, pomimo woli twojej zejdzie jutrzejsze słońce, i ty dzień po dniu żyć i przecierpieć musisz.

— Muszę, powtórzyła jak echo.

— Czy nie wiesz że tutaj biada ludziom którzy opuszczają się sami?

— Wiem, powtórzyła jeszcze.

On znowu spojrzał jej w oczy. W tej chwili nie mogła go zrozumieć i jakieś uczucie litościwego gniewu mignęło po jego twarzy. Ale to przeszło prędko; oczy jego złagodniały i zmiękły.

— Czyż bez niego, wyszeptał nachylając się ku niej, niema już dla ciebie życia?

Zadrżała, jak gdyby dotknięta niemilosierną ręką świętej rany.

— Ja nie wiem, odparła tylko.

Umilkł, ale wpatrywał się w nią długo, bo rozumiał że nawet głos jego nie mógł dolecieć do otchłani jej smutku, że czas tylko jeden mógł go zatrząść i złagodzić.

Miał słusność: natura ludzka stworzona jest do znoszenia życia; rany nieuleczone z pozoru, zablizniają się same z siebie; boleść zjada się i zużywa swą własną siłą. Moralna jak materialna istota nasza przetwarza się i z bogactwa co chwila nowymi żywiołami wchłoniętymi z otaczającego świata, a natomiast utracą żywioły dawne.

Emilia dzień po dniu, chwila po chwili wracała do życia, jak kwiat co powoli podnosi głowę po burzy i choć nigdy już nie odzyska barwy pierwotnej, jednak rozkwitnąć jeszcze może.

Ale nie sam Julian tylko czuwał nad tym przetworzeniem; nieznajomy, który tak uparcie towarzyszył im w pierwszej przechadzce w ogrodach Schlosslaufen, który z takim zajęciem śledził wyraz zniechęcenia w oczach młodej kobiety, zbliżył się do nich w codziennych spotkaniach w hotelu i okolicznych wycieczkach i z wolna z nieznajomego stał się zwykłym ich towarzyszem. Pierwsze wrażenie jakie czynił nie myliło; był to w całym znaczeniu tego wyrazu dobry chłopiec, nie orzeł wprawdzie, ale też nie mający najmniejszej pretensji patrzeć w słońce. Przeciwnie, grzeszył on może zbyt skromnością; w swoim własnym przekonaniu był niczym, więc też niczego nie wymagał i tak mało zważał na swoją własną przyjemność lub dogodność, jak gdyby do niczego nie miał prawa pod słońcem. Czynił to z abnegacją godną uznania, której sam nie domyślał się wcale, i to stanowiło właśnie prawdziwą, oryginalną cechę tego charakteru, nieśmiałości, cichego, zamkniętego w sobie, z przeczuciem jednak wszystkiego co piękne i wysokie.

Julian polubił go bardzo. Dla niego był to nadzwyczaj rzadki typ, kontrastujący dziwnie z dzisiejszym światem, z całym pokoleniem gorączkowym,

rozkochanym w sobie, zarozumiałym, samolubnym, o sztucznych uczuciach i sztucznych myślach.

Dla Emilii on nie istniał dotąd. Przyzwyczała się do niego, jak do jednego ze sprzętów domowych; nie raziła jej obecność jego, lecz nie byłaby dostrzegła i oddalenia. Nie zauważała nigdy zachwyconych spojrzeń, które tyle razy zwracał na nią. Nazywał się Józef G., a dla niej, poprostu był Józkiem, jak nazywali go wszyscy. Należał do rzędu istot, które na całe życie zostają Józkiem, Stasiem, Antosiem, których nieraz nawet mimo siwych włosów nikt za skończonych ludzi nie uważa; ale on sam nigdy nie zastanowił się nad tem. Już to przyznać należy iż zastanowienie, była to słaba strona Józka; on w ogóle wszystko czynił nie z woli i rozmysłu, ale z instynktu, i dlatego może każdy go lubił, nikt nie brał na seryo, a za wyświadczoną przysługę nikt nie poczuwał się do obowiązku wdzięczności. Miał wielu towarzyszy, lecz ani jednego serdecznego związku. Właściwie nawet nie miał swojego, bo znajomi bez ceremonii posługiwali się tem wszystkim co należało do niego, gdy jemu nigdy nie przyszło na myśl użyć praw odwetu. Czy to położenie było mu zawsze przyjemne? nie wiem. Czy sobie samemu określił kiedy niedogodności jego? nie wiem także; ale to pewno, że nigdy niczego odmówić nie potrafił, że nigdy nie oparł się nikomu, póki chodziło o niego. Dotąd żył bez celu i myśli; był bogaty, więc nie potrzebował się łamać z żadną materialną trudnością; miał stosunki jakie daje majątek, więc nie potrzebował się o nie starać. Nigdy żadna ambitniejsza zachcianka nie przeszła mu przez głowę. Poprzestawał zupełnie na znaczeniu jakie daje uczciwość i pieniądze, nie marząc o niczym więcej. Zresztą, jak się łatwo domyśleć, był to wyborny towarzysz i kolega. Jeden z jego sąsiadów, jadący do Szwajcaryi, namówił go do tej podróży, która dotąd nie zrobiła mu nadzwyczajnej przyjemności. Julian z Emilią zatrzymali się w Schlosslaufen, i on zatrzymał się tam także, bo po raz pierwszy w tej uśpionej naturze odezwało się silne uczucie, poraz pierwszy kobieta pociągnęła go wyższym urokiem niż piękność. Na to wrażenie złożyły się najszlachetniejsze pierwiastki jego ducha. Gdyby Emilia była wesołą, szczęśliwą, spojrzałaby był może na nią z zachwytem i minął; ale ona była smutną, wątłą, bezsilną. Nie marzył pewno o tem by ją pocieszyć: myśl jego nie sięgała tak wysoko; tylko zapragnął wiedzieć przyczynę jej cierpienia i pozostać, bo przestać patrzeć na nią, coraz bardziej dla niego stawało się niepodobieństwem.

Patrzeć na nią, to był jedyny objaw tej miłości, może jedyne pragnienie jego serca, bo zaledwie odważył się kiedy niekiedy zbliżyć i przemówić. Emilia wydawała mu się czemś wyższym od niego, od reszty świata, czemś nakształt bóstwa, które się wielbi w pokorze. Był szczęśliwy gdy przyjął kwiatek z jego ręki, gdy wśród przechadzki wsparła się na nim, przyjął pomoc w jakimś trudnym przejściu.

Niepodobna było by Emilia nie spostrzegła drżenia jakim go obejmowało samo jej zbliżenie się, by nie dojrzała naglej bladeści jaką jej spojrzenie wywoływało na twarz Józka i tej namiętności gorzącej w oczach jego w nią utkwionych tak nieśmiało, z daleka. Ale kobiety, nawet najlepsze i najszlachetniejsze, są zazwyczaj okrutne dla miłości której podzielić nie mogą, zwłaszcza jeśli ta miłość nie pochlebia ich dumie. Uczucie Józka wywoływało zaledwie litośny uśmiech na twarz Emilii. Przyjmowała wprawdzie niewolnictwo jego, sądząc że i tak czyniło mu to dość zaszczytu; ale zresztą nie zastanawiała się nad tem, nie domyślała się siły tej miłości; nie wabiła go, nie odpychała, nie mogła więc być za nią odpowiedzialną. Nie uzalała się też nad Józkiem; on nie był z tych co chwala się cierpieniem. Cierpienie maluje się z trudnością na czerstwej, ogorzalej twarzy, na rumianych policzkach; a zresztą on nie cierpiał jeszcze, nie przewidywał przyszłości. Obecność starczyła mu dotąd. Żył w stanie rozmarzenia, tem niebezpieczniejszym, że sam nie zdawał sobie z niego sprawy. Był jak człowiek unoszony siłą niezłaganego prądu na zabójcze skały, który nie domyśla się ich istnienia i płynie spokojny, szczęśli-

wy, rad z tego że prąd umniejsza mu pracy, że nie potrzebuje wiosłem popychać łodzi.

Życie to spokojne trwało dla niego kilka tygodni; aż wreszcie Emilia, znudzona jednostajnym szumem wodospadu, postanowiła jechać dalej; dokąd? jej było to wszystko jedno: zapragnęła zmiany.

Józko odebrał tę wiadomość ze zdziwieniem i smutkiem; jemu było tutaj tak dobrze, iż nie pomyślał nigdy że czas ten skończyć się musi. Poraz pierwszy teraz zamyslił się nad sobą i nad przyszłością. Wprawdzie mógł pojechać gdzie jechała ona; ale nieszczęściem na początku zaraz znajomości oświadczył Julianowi, że wraca do kraju, gdzie go ważne powołują interesa, i ten krok niedyplomatyczny krzyżował mu wszystkie plany. Nie miał dość zręczności, by się z niego wycofać; dla niego małe przeszkody wydawały się olbrzymie. Brakło mu samodzielności i energii by je zwalczyć. Był zawsze dotąd biernym narzędziem w ręku wypadków i ludzi; teraz więc nie wiedział jakim zwrotem zmienić położenie, a czuł że zmienić je musi, bo i cóż znaczył dla niego świat cały bez Emilii?

Nad wieczorem młoda kobieta zapragnęła raz jeszcze obejrzeć wodospad, i zeszli razem do ogrodu. Józko podał jej ramię, i znowu, jak przed kilku tygodniami, usiadła na ławce, słuchając szumu wody, i zamysliła się głęboko, jak gdyby była samotną. Dotąd towarzysza swego nie uważała za osobę.

A jednak on patrzył na nią głęboko i smutno. Chwila ta przynosiła mu na usta tysiące wspomnień, których nie umiał wynurzyć, a jednak pragnął to uczynić.

— Pani, rzekł w końcu nieśmiało; tu miałem szczęście zobaczyć cię po raz pierwszy.

I biedny chłopiec, wymówiwszy te słowa, które dla niego były pełne znaczenia, zarumienił się po same uszy. Sądził że w nich wyznał całą miłość swoją, że ona powinna go zrozumieć. Ale Emilia nie spojrzała nawet na niego; oczy jej utkwione były jak wówczas w spienione wody.

— Nie przypominam sobie, odparła niedbale.

Józko patrzył na nią z niemym wyrzutem; ale ona miała odwróconą głowę i nie zobaczyła tego wymownego wzroku. Myśli jej szły z biegiem bałwanów.

— Jak ta fala śpieszy się i pędzi, mówiła jakby sama do siebie, zapominając prawie że on był przy niej. Rozpryskuje się o też same skały, tworzy też same bałwany i spieniona płynie dalej, chwilę jeszcze rozburzona, szalejąca, aż powoli wraca do spokoju, gasi tęczowe piany, uspokaja nurty i znów staje się czemś dawniej była. Wszystko na świecie jedną toczy się koleją; też same prawa rządzą materialnym i moralnym światem, ludźmi i martwą naturą.

Józko słuchał jej zdumiony. Słowa te nie zamykały zbyt głębokiej filozofii, podobne zapewne nieraz już obijały się o jego uszy; teraz jednak wniknęły mu do myśli i zdawały się odkrywać jakieś światy nowe. Słuchał ich ze czcią religijną prawie, a gdy zamilkła, nie znajdował odpowiedzi. Ale ona nie czekała na nią; wyraźnie mowy swojej nie zwracała do niego. Jej było to obojętnym zupełnie, czy słuchał ją lub rozumiał.

— Pani, rzekł znowu Józko po namyśle długim bardzo, ty także byłaś smutniejszą dawniej.

To także, wyraźnie znaczyło punkt wyjścia jego słów, inaczej zupełnie nie przystosowanych do jej poprzedniej mowy. On wniknął w myśl jej i burzę miotającą jej sercem porównywał do tej wiecznej burzy Renu.

Ale Emilia dumnie ściągnęła brwi. Jakiem prawem on mieszał się do jej smutku, jakim prawem ją rozumiał?

Nie odpowiedziała nic; powstała i skierowała się do brata, który stał o kroków kilka.

Na brzegu były łodzie gotowe przewieźć ciekawych przez szalejące nurty rzeki na drugą stronę, lub też na skałę rozdziierającą jej fale i panującą nad wodospadem.

— Nie byłam nigdy jeszcze na tej skałce, wyrzekła do brata. Popłynijmy tam.

(Dokończenie nastąpi).